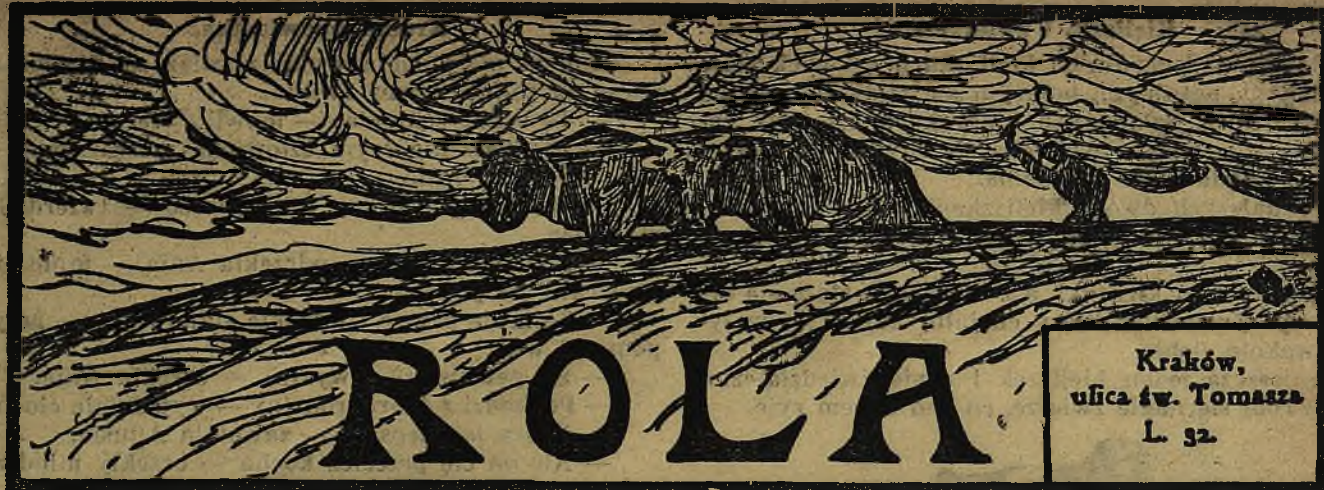


ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Kieliszki i zwierzęta.

Po pierwszych dwóch kieliszkach człowiek staje się cichym, potulnym, bojącym się własnego cienia.

Po dwóch następnych kieliszkach człowiek zamienia się w lisa — uśmiecha się chytrze do otoczenia i spogląda nieco z podełba.

Po dalszych dwóch kieliszkach człowiek zamienia się w złego buldoga, który gotów rzucić się na każdego.

Jeszcze dwa kieliszki, a z człowieka staje się ordynarny niedźwiedź, który chciałby zdusić — wszystko wokoło siebie.

A jeszcze jeden kieliszek i z niedźwiedzia-człowieka robi się nagle zwierzę, co pod dębem ryje.



Pewny znak.

Kiedyś w obecności króla angielskiego Edwarda VII toczyła się rozmowa na temat, jaka jest różnica między mężczyzną pięćdziesięcioletnim a takim, który już sześćdziesiątki dociągnął.

— To łatwo poznać — odrzekł król z uśmiechem. U mężczyzny pięćdziesięcioletniego poczynają włosy siwieć, a gdy te wołsy napowrót przybiorą dawny kolor, to jest oznaką, że właściciel ich ukończył lat sześćdziesiąt.



Łajdak.

— Takiemu człowiekowi dajesz swą córkę? — Przecież on siedział cztery lata w kryminale!

— A to łajdak!

— Dobrze, że przyznajesz to sam!

— Bo powiedział mi, że siedział tylko dwa lata!

Krótka opowiastka.

Anusia nie chciała wyjść za mąż za Pipścikiewicza za żadne skarby świata.

— To bogaty chłopiec — mówił ojciec.

— Pieniądz nie czyni człowieka szczęśliwym — odpowiedziała Ania.

— Bardzo przystojny młodzieniec — twierdziła mamusia.

— To rzecz gustu — odrzekła Ania — mnie się on wcale nie podoba.

— Zajmuje pewne i wysokie stanowisko — przypomniał wuj.

— Są pewniejsze i wyższe — orzekła Ania.

— Pochodzi z dobrej rodziny — wyjaśniała ciocia.

— Nasza jest lepsza! — zawołała Anusia.

— Ale on cię przecież kocha — orzekły młodsze siostry upartej panienki.

— A ja go nie! — krzyknęła rozdrażniona Ania.

— Hm, chrząknęła babcia, która dotychczas nie zabierała głosu: jeżeli, moja kochana, wyjdziesz za niego to zobaczysz, jak ci będą zazdrościły wszystkie koleżanki!

— Tak? — spytała tylko Ania, — ale w duchu postanowiła raz jeszcze spotkać się z młodym człowiekiem.

— — — — — — — — — —

Pipścikiewiczowie są już po ślubie.



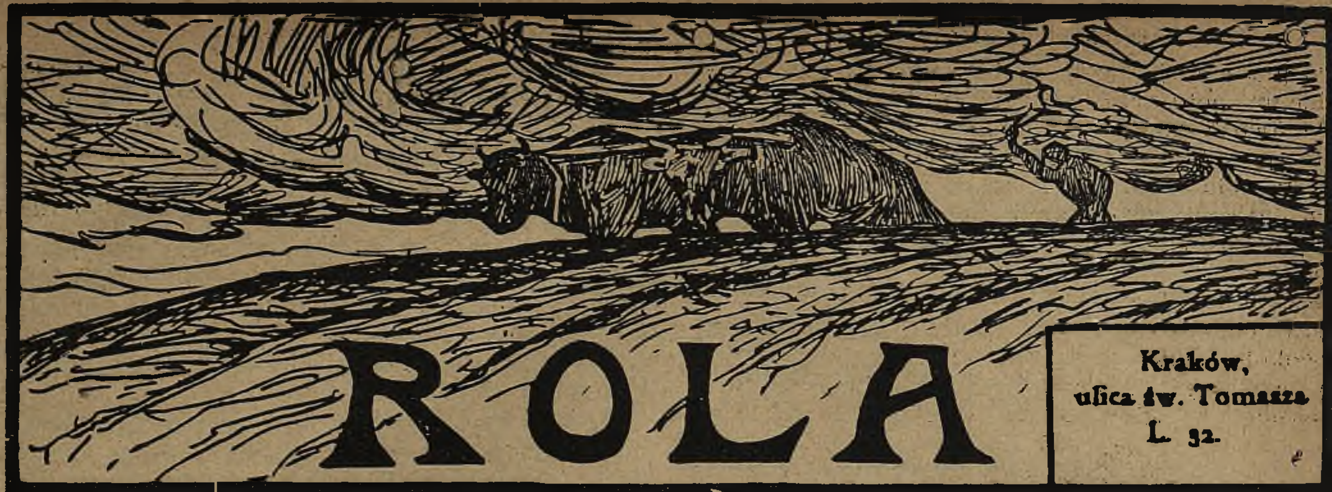
I to racja.

— Tatusiu, czy nauczyciel może mię ukarać, jeśli ja nic nie zrobiłem?

— Oczywiście, że nie, mój chłopcze. Kara jest zawsze następstwem złego czynu.

— To dlaczego nauczyciel kazał mi dzisiaj klęczeć za to, że nie zrobiłem zadania.

Numer 6. **Rok XV.** **Kraków, dnia 7 lutego 1932.**



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Prenumerata na rok 1932: Rocznie 12 zł, półrocznie 6·50 zł, kwartalnie 3·40 zł; do Czechosłowacji rocznie 50 koron cz., półrocznie 27 kor. cz., kwartalnie 15 kor. cz.; do Francji rocznie 60 franków fr., półrocznie 30 fr., kwartalnie 15 fr. — Do Ameryki rocznie 2 i pół dolara. — Numer pojedynczy we wszystkich agencjach i w Administracji »Roli« 30 groszy. Adres na listy do Redakcji i Administracji »Roli« **Kraków, ulica św. Tomasza 32.**

Konto pocztowe w Polsce: Kraków P. K. O. 406.301 Konto pocztowe w Czechosłowacji: Praga Poczt. Urząd Czekowy 500.868.

Ludowe zwyczaje zapustne w dawnej Polsce.



Czas przed wielkim postem, poprzedzającym mękę Chrystusa Pana i Jego zmartwychwstanie, zowie się zapustami. Zapusty od wieków uprzywilejowana pora wszelkiego rodzaju zabaw, widowisk, maskarad, wesołości i pustoty. Już u pogan rzymskich odprawiano w tych czasach bachanalje. Z nadejściem chrześcijaństwa Boże Narodzenie i Nowy Rok dały powody do wesołości religijnej, a łakomy żołądek ludzki w przewidywaniu długiego postu, wymyślił tłuste uczty i huczne pohulanki na pożegnanie dni zapustnych.

Zapusty, rozpoczęte suto i wesoło Godami, tak nazywano święta Bożego Narodzenia w języku staropolskim, kończono równie suto i mięsno ostatkami, które zwano także kusymi dniami czyli kusakami. Ostatni czwartek zapustny od tłustych biesiad zwano tłustym.

Po wielu domach szlacheckich najwymowniejszy z domowników lub z gości i odznaczający się dowcipem w ostatni wtorek, włożywszy na siebie koszulę zamiast komży, pas zawiesiwszy na szyi, zamiast kapłańskiej stuły, stawał na stołku, przybitym do ściany, osłoniętym kilimkiem albo dywanem, niby na ambonie i prawił kazanie. Była to mieszanina anegdotycznych wspomnień, zdań i dykteryjek, z umysłu śmiesznie powiązanych lub związku z sobą nie mających, a zwykle okraszonych prawdziwym staropolskim dowcipem i złotym humorem, co wywoływało w gronie słuchaczy śmiech i niezwykłą wesołość. Po takiem kazaniu, które nie obrażało nigdy uczuć religijnych, następowała wieczerza mięsna, a gdy północ uderzyła, wynoszono tak zwany „podkurek", t. j. śledzie, jaja i mleko, post wielki zaczynając.

We dworach szlachty litewskiej był zwyczaj, tam, gdzie pielęgnowano gorliwiej tradycje ojców, że gdy północ nadeszła, wnoszono na stół półmisek z przykrywą, którą, gdy uderzyła godzina dwunasta, podnoszono. Z pod tej pokrywy wylatywał wówczas wróbel, a pozostawały na półmisku dwa śledzie. — Ptaszek był symbolem uciekającego mięsa na czas wielkiego postu, a śledzie zwiastowały post.

Lud wiejski, na przestrzeni między Odrą, Karpatami i Dnieprem, miał lub ma dotąd prawie jednakowy sposób kolędowania zapustnego, polegający na przebieraniu się za turów, niedźwiedzi, konia, kozę, żórawia, cyganów i obchodzeniu chat i dworów bądź w święta Bożego Narodzenia i w wigilję Nowego Roku, bądź też w ostatnie dni zapustne.

U Rusinów nad Bugiem, w końcu zapust, jeden z parobków rzeźwych przebiera się za kozę i z kilku towarzyszami przebranymi za dziadów, cyganów, żydów, obchodzi wieś całą i dwór, a gdy w skokach naśladuje kozę, cała drużyna zapustników śpiewa.

Na podgórzu karpackiem przechowało się przysłowie „chodzić z turońkiem".

Chodzenie z kozą w ostatki jest powszechnym dotąd około Krakowa zwyczajem. Chłopak, który ją udaje, nakrywa się cały kocem kudłatym lub wywróconym do góry wełną kożuchem; chodzi na 3 nogach; ma ogon (czasami koński) do kija przywiązany, dzwonek u karku przy prawym rogu, czerwony kwiatek na czole, pysk oblamowany czerwonym suknem, którym kłapie, becząc. Prowadzi tę kozę czterech chłopaków przy odgłosie muzyki. Koza w każdym domu wyprawia skoki i łamańce, beczy, woła jeść i kłapiąc pyskiem goni za dziewczętami.

Tu i ówdzie na Mazowszu, Kujawach i Podlasiu, w ostatni wtorek obwożą kurka, wystruganego z drzewa, a osadzonego na dwóch kółkach, ciągniętych za mały dyszel przez parobczaków, którzy dość długą oracją zapraszają dziewki i gospodynie na tego kurka, jakby na prawdziwego, za co otrzymują ser, masło, jaja, słoninę i t. d. z czego, dokupiwszy sobie wódki, urządzają ucztę przed północą.

Na Kujawach przebierają się parobcy za żydów, cyganów, niedźwiedzie, konie, kozły i bociany. Jest tam i koza drewniana, to jest drążek z kozim łbem, gdy sam chłopak pod nim przykryty płachtą skacze, bodzie i za pomocą sznurka przeprowadzonego do koziej brody, kłapie szczękami.

W tymże dniu baby na półwozie, przystrojonym w chusty i płachty, przyjeżdżają po każdą z osobna młodą mężatkę, która w tym roku poszła za mąż i tańcząc a śpiewając, wiozą ją same do karczmy. —

Przed karczmą chcą młodycę przewrócić razem z wozem, od czego chroni ją danie wykupnego na wspólny poczęstunek. Jeżeli dziedzic ożenił się także w tym roku, to zajeżdżają w podobny sposób i do dworu po młodą panią, która okupuje się wtedy hojnym datkiem.

W karczmie baby skaczą, jak która może najwyżej, w przekonaniu, że len im tak wysoko urośnie.

W niektórych wsiach kujawskich, do wożenia młodych mężatek służy taczka, przybrana w choinę, wstążki i firanki, ciągnięta przez człowieka okręconego powrósłami z grochowin, który ma wyobrażać niedźwiedzia. Przytem jedna z wygadanych kumoszek, zwana śmieszką, odgrywa rolę miejskiej przekupki.

Tym sposobem niedźwiedź zapustny, będący niejako uosobieniem zapustu, wprowadza pierwszy raz nowozamężną do grona gospodyń, obchodzących tradycyjnie wstępną środę i „babski taniec na len", którym zowią owo skakanie.

O ile zapusty są uprzywilejowaną porą biesiad młodzieży wiejskiej, w których starsi niewielki biorą udział, o tyle wstępna środa jest nad Narwią wyłącznem i charakterystycznem świętem gospodyń.

Młodzież wprawdzie w dniu popielcowym bawi się jeszcze dość wesoło, przyczepiając mężczyznom, którzy się nie pożenili i dziewkom, które za mąż nie wyszły, klocki, lalki lub skorupki z jaj. Tu i ówdzie pokazują się jeszcze przebrane cyganki, cyganie, żydzi i straszą się, a wesoła gromada wiejska wciąga duży kloc do mieszkania kawalerów i panien i zabiera go dopiero po otrzymanym wykupnie.

Kloc ten lub pień wciągają wreszcie do karczmy i póty leją nań wodę, dopóki karczmarz nie wykupi się gorzałką. Gospodynie zebrane wszystkie razem, prawie cały dzień przepędzają w gospodzie. Przynoszą z sobą surową kapustę i tak zwane osuszki, czyli postne ciasto z tartych ziemniaków i pytlowanej mąki przyrządzone.

Po przekąskach zaczyna się charakterystyczny taniec kumoszek na len, polegający głównie na skakaniu przez pień postawiony w pośrodku izby.

Nieszczęśliwa Zosia.



Zapłakały oczka siwe,
Takie biedne, nieszczęśliwe,
Że aż w sercu żal się budzi
I na siebie i na ludzi.

Ma już Hanka swego Jaśka,
Ułowiła Bartka Kaśka,
A Zosieńka, to nieboże,
Wciąż nie może i nie może...

Już się nawet Stach brać zdawał,
A tu kończy się karnawał
I Zosieńka, to nieboże,
Jak nie może, tak nie może...

Za chłopcami tak patrzała,
Tak oczkami wciąż strzelała
I ogniste skry sypała,
Ale chłopca nie dostała.

I nie koniec strasznej biedzie,
Bo post smutny do nas idzie,
W którym zamrze śpiew i taniec;
Do rąk trzeba wziąć różaniec.

A gdy minie post ten długi,
Trza próbować po raz drugi,
Trzeba znowu dość się głowić,
By chłopaka sobie złowić.

A więc płaczą oczka siwe,
Takie biedne, nieszczęśliwe,
Że aż w sercu żal się budzi
I na siebie i na ludzi!

Antoni St. Bassara.

MARJA WALLER.

„Stłumione echa".

Powieść historyczna.

Nagle z lasu wysunął się potwór dziwny, ni ptak, ni zwierzę. Ciało miał jaszczurki, skrzydła nietoperza, a głowę... ludzką. Bezszelstnie wpłynął na polanę i z otwartą paszczą rzucił się na skrzydlate dzieciętą, które z krzykiem rozpaczy wzbiły się w górę. Potwór ścigał je zawzięcie, a Ludomira umierała w strachu o biedne maleństwa i o siebie...

Ocknęła się z dzikim krzykiem przerażenia...

Całkowita ciemność wypełniła izbę; łuczywo zgasło, a z ciemności szedł ku niej jęk przejmujący, łączył się ze strasznym snem, groził, błagał — bolesny, okropny!

Ludomira stała chwilę, nie mogąc się opamiętać, wreszcie nadzwyczajnym wysiłkiem woli zmusiła do posłuszeństwa zdrętwiałe przerażeniem członki.

Chwiejąc się na nogach, wysunęła się do sieni. Chłód owiał ją, wracając przytomność... Wpadła do izby naprzeciw, gdzie na palenisku tlały głownie, przywalone warstwą pruchna i igliwa.

Wyszukawszy spory ogarek, obłożyła go hubką i rozdmuchała z trudem. Wkońcu błysnął ogienek. Przytknęła doń smolne łuczywo i jak nieprzytomna wpadła do świetlicy.

Na łożu siedział kapłan, tocząc wokół zaczerwienionemi przekrwionemi oczyma... Pierś falowała mu gwałtownie, a z ust wydzierał się jęk głuchy, bolesny! Oczy wpatrzyły się w światło bezmyślnie, nie poznawał nikogo.

Ludomira wpadła bez namysłu do maleńkiej alkowy i silnem szarpnięciem obudziła Sławę.

Dziewczyna zerwała się szybko. Nie pytając, odgadła coś niedobrego.

Ludomira była trupio-blada i zęby szczękały jej, jak w febrze.

W świetlicy tymczasem zbudził się Zbilut, pytając, co się dzieje. Tylko Skryba leżał bez ruchu, a najmniejsze drgnienie powiek nie zdradzało życia. Ludomira rzuciła się do Zbiluta, aby go uspokoić, a Sława zaczęła bez namysłu ściągać bandaże z ręki kapłana. Czyniła to lekko i ostrożnie, a przecież każdemu jej ruchowi towarzyszył dojmujący jęk.

Odwinąwszy, cofnęła się z przerażeniem: ręka była straszna. Opuchnięta, świecąca i czerwona, pokryta była gdzieniegdzie sinemi plamami. Sława pochyliła się nad zdjętym opatrunkiem i długą chwilę badała oczyma i węchem resztki maści pozostałe na szmatach. Niemiła, ckliwa woń uderzyła jej powonienie... Straszny lęk szarpnął sercem dziewczyny... twarz poszarzała. Zamoczyła szybko w wodzie kawał czystego płótna i obwinęła nim ranę chorego. Taki sam okład zrobiła na rozpaloną głowę.

Chory spojrzał nieco przytomniej i błogi uśmiech rozjaśnił jego twarz.

— Przyszłaś matuchno? Dobrze, żeś przyszła! bo ja do ciebie nie mógłbym... widzisz... nauczyłaś mnie, aby ich kochać... a patrz... widzisz, jak za miłość płacą?

Żalił się, jak słabe, bezbronne dziecko.

Sława drżała jak w febrze. Zęby szczękały jej głośno, a pierś dławił taki żal, że łzy popłynęły bezwiednie i spadły na twarz chorego.

— Nie płacz, matuchno! Choćbym i umarł, to cóż... tam spotkamy się... Dlaczego nic nie mówisz? Tak mnie pali...

Nagle zdrową ręką pochwycił ją za dłoń.

— A możeś gniewna? Pytałem o Jaksów i Niemirów... nikt nie wie... przepadli... Gdy Bożena przepadła, macierz jej umarła... tak... umarła pewno... Jaksa — przecież to babka!!!

Sława ścisnęła głowę rękoma — zdawało się jej, że pęka od nadmiaru wrażeń. Jaksa! więc nie myliły ją przeczucia. Jaksa i Bożenna — i jak oszalała wypadła z izby w srebrzystą poświatę szarzejącego dnia.

Jak obłąkana pędziła na polanę, gdzie w spróchniałym dębie obiecywała sobie odszukać starą.

Biegła bez myśli, bez czucia, zawadzając o wystające korzenie... kilkakrotnie padała, obdzierając i kalecząc ręce, raz uderzyła boleśnie o kamień. — Z rozbitego nosa pociekła krew... ale dziewczyna nie zważając na nic, biegła dalej... aby prędzej, aby już!

Nigdy ta droga nie wydawała się jej tak długa, nigdy nie cierpiała tyle, nic dziwnego też, że gdy wydostała się na polanę, podobna była raczej do zmęczonego pościgiem, okrwawionego potworka, niż do pięknej dziewoji, jaką była przed godziną. Zielsko, trawy i liście pozaczepiane o wzburzone, rozczochrane włosy, pogłębiały jeszcze to wrażenie.

Bez tchu dopadła otworu.

— Babko — wychodźcie hyżo! — Babko.

Wewnątrz zamruczało coś gniewnie, a w chwilę potem ukazała się jastrzębia głowa starej.

— Czego? — ozwała się niechętnie.

Spojrzawszy jednak na twarz Sławy, wypełzła co żywo:

— Co tobie? — pytała łagodniej już.

— Babko! coście zrobili! Zabiliście wnuka! — wydarło się rozpacznie z ust dziewczyny — i szlochanie okropne, gwałtowne, niepowstrzymane, rozdarło jej pierś.

Stara zatoczyła się, wnet jednak dopadła do Sławy.

— Opamiętaj się! czyś oszalała? co pleciesz?

Daremnie jednak. Nerwy dziewczyny nie wytrzymały strasznych cierpień. Wiła się jak robak na ziemi w strasznym, nieprzerwanym płaczu...

Stara patrzyła chwilę bezradnie, wreszcie haczykowate jej palce wplątały się w sploty dziewczyny... Szarpnęła... na palcach pozostały pasma złocistych włosów...

— Oszalałaś?! Mów! — wrzeszczała stara.

Sławę oprzytomnił nieco ten ból fizyczny, tembardziej, że palce starej chwytały dalsze pasma, szarpiąc bezlitośnie.

— Puście babko! Serca nie macie!

— To mów! a nie wyj! Co się stało?

— Ten obcy, to syn Bożenny waszej! Wnuk wasz, a mój brat! Wyście go zamordowali! Kona tam przez was!

— Kto ci naplótł?! Mój wnuk?! Mój wnuk Niemcem? Moja córka żoną Niemca? Ha, ha, ha! — śmiała się stara dziko — co z tobą dziewczyno?

Sława jednak oprzytomniała już i patrzyła na starą spokojnie, niemal wyzywająco.

Pod wpływem tego zimnego spojrzenia śmiech zamarł na ustach starej.

— Mówże, co stoisz jak słup!

Sława opowiedziała rozmowę wczorajszą i dzisiejsze majaczenia chorego.

Stara słuchała z natężeniem.

— Idę z tobą! — rzekła wreszcie.

Sława pokręciła głową.

— Po co? po śmierć? Zabiją was! Ludomira widziała rękę! Napewno domyśla się wszystkiego! — Mnie dajcie ratunek dla niego, o ile jest!

Jarucha pochyliła głowę. Sława miała rację. — Tylko śmierć mogła ją czekać za usiłowane morderstwo! Niema się tam po co pokazywać! Chwilę przebiegła jej przez myśl straszna zbrodnicza chęć: spalić dworzyszcze ze wszystkiemi, co się tam znajdują i skończyć ze sobą...

Wnet jednak ogarnął ją żal i lęk, odpędziła od siebie szaleńczą myśl. Ratować go! ratować krew swoją za wszelką cenę!

Spojrzała na Sławę. Czy to dziewczę uradzi? Czy potrafi czuwać nad chorym dzień i noc bez wytchnienia? Wątpiła, a jednak inaczej być nie mogło!

— Chodź! dam ci co trza, i pouczę — rzekła wreszcie.

W kwadrans później wracała Sława, niosąc leki i zioła.

Drogę przebyła wolniej nieco, ale i teraz nie obyło się bez kilku potknięć, bo na plecach niosła sporą wiązkę korzeni i ziół świeżych, a przed sobą gliniane naczynie, napełnione jakąś oleistą cieczą. Za każdem potknięciem ciecz chlebotała się mocno, utrudniając i przedłużając drogę w nieskończoność.

Wreszcie znalazła się u celu.

Ludomira, oczekując jej, zmieniała chłodne okłady, chory jednak nie odzyskiwał przytomności. Koło łoża jego zgromadziła się duża gromadka osób, komentując żywo wypadek. Ukazanie się Sławy, przyjęto pomrukiem.

— Gdzie babka? — pytał surowo Stańko, zwracając się do dziewczyny.

Sława spojrzała na niego poważnie.

— Ostawcie pytania! Jego trza ratować!

— Jemu już nic nie pomoże! A sprawiedliwości musi się stać zadość!

— Pozwólcie i pomóżcie mi! Ratunek jest. Gdyby zaś okazał się daremny, babka wam nie ucieknie. Sama was do niej zaprowadzę! — wyszeptała, zwracając do Stańka zalaną łzami twarz.

Stańko ustąpił a Sława zabrała się energicznie do ratunku.

Zawrzały wnet przyniesione zioła. Sława obłożyła opuchniętą rękę chorego, kropiąc ją przyniesionym płynem. Piersi i plecy obłożyła dużemi postrzępionemi liśćmi jakiejś rośliny i napoiła go wywarem z korzeni. Skończywszy to, usiadła obok, czekając skutku.

Płynęła godzina za godziną, stan chorego pozostawał bez zmiany. Chwilami zrywał się z jękiem, prawił głupstwa, wołał matki, lub rozmawiał ze Sławą, to pieszczotliwie, to niecierpliwie... Chwilami mówił coś w obcym nieznanym Sławie języku, to znów odpędzał od siebie wszystkich, lub przywoływał z powrotem...

Nad wieczorem przyszły wymioty. Stańko i Dowmunt nie odstępowali go na krok, a Sława robiła wszystko, co w ludzkiej mocy, aby utrzymać uciekające życie; jednak wszystko zdawało się być daremnem.

Prawie o zmierzchu już wysunęła się z świetlicy i popędziła raz jeszcze do starej. Nie wołając, wpełzła do otworu. Ciemno było zupełnie — nic się nie poruszyło. Sławę objął strach.

— Babko! — zawołała głośno.

Coś w kącie drgnęło. Jakiś skulony kształt rozprostował się nieco i ukazała się siwa głowa, ukryta dotąd w kolanach.

— Zmarł? — wyszedł szept głuchy.

— Nie jeszcze, ale... wymioty zmęczyły go strasznie! I przytomności nie odzyskał.

Stara odetchnęła ciężko.

— Jeśli tę noc przeżyje, będzie chorzał ciężko, lecz wyzdrowieje — rzekła, jakby sama do siebie.

— Słuchaj Sławo! Mam tu korzeń tojadu. Daj mu pić, ale po jednym łyku, gdyby osłabł bardzo.

— Tojadu? babko! toć to śmierć!

— Nie lękaj się! Babie wierz! I to lek, ale trza wiedzieć, kiedy i gdzie! Nie lękaj się i uczyń, jako ci mówię. Tylko pamiętaj po łyku! Więcej nie wolno! Nocą będę krążyć w pobliżu domu! Gdyby... gdyby... coś źle, wołaj... bo... pragnę go ujrzeć przed śmiercią...

Sława odeszła, słaniając się na nogach. Wytężając wszystkie siły, zaczęła biec, aby nie przyjść za późno...

Nadeszła straszna noc. Zbiluta przeniesiono do izby, zajmowanej przez Ludomirę, aby powracającemu do zdrowia chłopakowi oszczędzić bolesnego widoku.

Przy kapłanie została Sława i Stańko. Po świeżym opatrunku z ziół uspokoił się chory, ale gorączka nie opuszczała go. Ramię okładane wciąż gorącemi ziołami, straszne było i bolesne nad miarę.

— Duszno mi — jęczał chory, — a Sława otwierała zasunięte na noc otwory okienne, chłodziła go zimną jak lód wodą.

— Czego te psy tak ujadają — szeptał znów za chwilę napół przytomnie.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Karjery sławnych ludzi.

Podobną sławą, jak u nas marszałek Piłsudski, cieszą się wielcy mężowie i innych narodów. Do takich należą: W Anglji Ramsay Mac Donald i Dawid Lloyd George, we Francji Piotr Laval i Arystydes Briand, w Czechach Teodor Massaryk, we Włoszech Benito Mussolini, w Rosji Józef Stalin, w Turcji Mustafa Kemal Pasza i wreszcie w Stanach Zjednoczonych Herbert Hoover. Ludziom, którzy nie znają ich przeszłości, mogłoby się zdawać, że wielcy ci mężowie są synami jakichś dygnitarzy, ludzi zamożnych i że dojście ich do dzisiejszego znaczenia było rzeczą nadzwyczaj łatwą, a tymczasem tak nie jest. Przyjrzyjmy się bowiem przeszłości tych mężów.

W małej wiosce rybackiej w Szkocji mieszkał w biednym domku młody chłopak. Nędzne życie miasteczka męczy go i gnębi. Postanawia za wszelką cenę wyrwać się z tego otoczenia. Za wykopywanie ziemniaków zbiera troszkę grosza i opłaca za siebie szkołę. Powoli wybija się coraz bardziej w swojem środowisku, a z czasem przenosi się do Londynu. Ten chłopak z zapadłej dziury szkockiej, to dzisiejszy prezydent ministrów w Anglji Mac Donald.

I drugi sławny mąż angielski, Lloyd George, wychował się w biednym domu osiedla górniczego w Walji. Gdy odumarł go ojciec, przygarnia go do siebie szewc z osiedla, daleki krewny ojca. Natura młodego chłopca jest krnąbrna i porywcza. Pali się do polityki i adwokatury. Znosi głód i niedostatek, ale pracuje i uczy się. Doszedł też do najwyższych godności w kraju i świecie, a głos jego był niemal decydujący w czasie pokoju wersalskiego. Przez niego nie odzyskaliśmy znacznych obszarów ziemi, które nam chciano przyznać. Dziś Lloyd George poszedł już i u swoich w „odstawkę".

Francuski prezydent ministrów Piotr Laval przepędził swą młodość w zabitej deskami nędznej wiosce francuskiej. Ileż musiał przejść trudów i mozołów, aby wybić się na najzaszczytniejsze stanowisko w własnej ojczyźnie i pracować z tak wielkim pożytkiem dla niej.

Podobnie Arystydes Briand, który przez lat wiele był ministrem spraw zagranicznych we Francji. Mały Arystydes wzrastał w małem portowem miasteczku, przy uliczce, którą przesuwali się pijani marynarze i podejrzane niewiasty. Usilną pracą wybił się na czoło narodu i stał się znany w całym świecie, jako wielki głosiciel pokoju i pojednania ludów.

Prezydent Rzeczypospolitej czeskiej, Teodor Massaryk, w młodości pasał bydło w rodzinnej wiosce na Słowaczyźnie. Ale głód wiedzy nie pozwala mu pozostać przy tem zajęciu. Dzięki własnej pracy i trudom zostaje nauczycielem. Ale i to mu mało. Udaje się do Wiednia, a później do Lipska, gdzie wśród głodu i nędzy kończy studja uniwersyteckie. Dziś stoi na czele całego swego narodu.

W nędznej wiosce włoskiej wzrastał inny niespokojny duch, Benito Mussolini. Nie mógł on wytrzymać w swojem środowisku i pragnął wydostać się w szerszy świat. Włóczył się od wioski do wioski i w czasie tej wędrówki zarabiał najpierw jako posłaniec, a później murarz. Tak przybył aż do Genewy i tu, choć głód skręcał mu kiszki, zaczął się uczyć, aby z czasem stać się dyktatorem Włoch, którego jedno słowo więcej znaczy, jak wszelkie usiłowania królewskie.

W małem osiedlu na Kaukazie żył sobie biedny szewc gruziński, Stalin, który miał syna Józefa. — Syn jego nie ma jednak ochoty jąć się rzemiosła ojcowskiego, ale marzy o tem, aby zostać panem. Mimo wielkich trudności udaje mu się dostać do seminarjum duchownego, ale wkrótce dostaje się w wir życia politycznego i dziś w potokach krwi włada całą Rosją, póki nie padnie z ręki swych rodaków, aby opróżnić miejsce jakiemu innemu satrapie.

Mustafa Kemal Pasza, wielki reformator i przywódca ludu tureckiego, jest synem biednego urzędnika. Dzięki swym zdolnościom politycznym i wojskowym zajmuje coraz wyższe stanowiska, aż fala wypadków wynosi go na szczyty powodzenia i sławy.

W niewielkiej wiosce amerykańskiej żył sierota, Herbert Hoover. Wychowywał się u swoich krewnych. Młody chłopiec marzył, aby mógł zostać posłańcem, a później inżynierem, któryby przeprowadził wielkie drogi. Powoli mały chłopczyna wyrasta na młodzieńca i wypływa na powierzchnię wielkiego życia Ameryki. Dzisiaj jest on sternikiem jednego z najpotężniejszych państw świata, prezydentem Stanów Zjednoczonych Północnej Ameryki.

Ile cierpień i trudów, ile dni więzienia przecierpiał największy i najzasłużeńszy człowiek w dzisiejszej Polsce, Marszałek Piłsudski, o tem pisać nie potrzeba, gdyż wiemy to doskonale. Dziś zajmuje on najwyższe stanowisko w naszej Ojczyźnie, bo nawet Prezydent Rzeczypospolitej liczy się z jego zdaniem i działa w myśl jego woli.

Obezwładniony olbrzym.



Jak wiadomo, większą część kuli ziemskiej zajmują olbrzymie oceany, kilkakroć razy większe, aniżeli ląd stały. A w olbrzymich tych wodach żyją miljardy najrozmaitszych stworzeń, począwszy od drobniutkich stworzonek, gołem okiem niewidzialnych, aż do olbrzymich potworów, jakich na lądzie stałym nigdzie nie spotykamy. A wszystko to poluje na siebie, walczy ze sobą i pożera się wzajemnie.

Najpotężniejszem rozmiarami ciała zwierzęciem ssącem już nietylko w morzu, ale na całej kuli ziemskiej, jest potwal, należący do rodziny wielorybów. Dochodzi on do 30 metrów długości, a miewa 12 metrów obwodu. Jest to prawdziwy gmach z mięsa, wyrosłego z drobnych żyjątek morskich. Bo trzeba wiedzieć, że wieloryby, chociaż mają paszczę wielką, to przełyk posiadają nieduży tak, że się przez niego większe istoty przecisnąć nie mogą. Wieloryb nabiera więc w swoją paszczę olbrzymią ilość wody wraz z drobnemi żyjątkami morskiemi, poczem ją zwęża, wyrzucając wodę specjalnym otworem, a pozostałe w paszczy rybki i inne żyjątka morskie połyka. Dlatego też zupełnie prawdziwą może być legenda o proroku w paszczy wieloryba, który przebywał w niej czas dłuższy bez żadnej szkody dla siebie.

Potwal, kiedy pruje fale morskie, wygląda, jak okręt prawdziwy, w którym pomieścić się może liczna załoga. Siła muskułów tego potwora morskiego odpowiada wielkości jego cielska i jest też w rzeczywistości olbrzymia. Wiedzą o tem dobrze marynarze, zajmujący się połowem wielorybów. Jednem uderzeniem ogona wywraca on statki parowe, jeżeli przy nieumiejętnem manewrowaniu zbyt się do niego przybliżą.

To też polowanie na potwala, który napastowany przez ludzi broni się do ostateczności, jest o wiele niebezpieczniejsze, aniżeli łowy na wieloryby grenlandzkie, pozwalające się bezkarnie zabijać.

Często jednak zdarza się, że olbrzymie potwale, tak potężne i trudne do pokonania na otwartem morzu, stają się żywcem pastwą drobnych drapieżców, ptactwa i lisów.

Dzieje się to wówczas, kiedy potwal, zbliżywszy

się zbytnio do brzegów, osiędzie na mieliźnie, gdzie odrazu staje się zupełnie bierną, nieruchomą, bezwładną masą, jaką widzimy na naszym obrazku. — W jednej chwili opadają olbrzyma całe stada błąkających się białych, podbiegunowych lisów, niby szakale, czekające na łatwą zdobycz oraz chmary żarłocznego ptactwa. Gryzą, dzióbią, wyszarpują żywe ciało mocarza wód, który kończy swe życie straszną śmiercią, nie wydawszy nawet jęku.

Z powodu olbrzymiej wielkości i siły potwala i życie jego nie uchodzi łatwo. Można sobie wyobrazić, jakie męki i jak długo je znosi, zanim wreszcie żyć przestanie. W bólu okrótnym radby strząsnąć na siebie te wszelkie upiory, które szarpią żywe jego ciało, ale jest bezsilny. A nawet krzyczeć z rozpaczy nie może, gdyż wieloryby nie wydają żadnego głosu. Leży wciąż bez ruchu i głosu i czeka na swój straszny koniec, póki nie zostanie przez wrogów swych zupełnie pożarty.

Zdarzają się czasem wypadki, że nowa fala morska uwalnia go od tych strasznych tortur i unosi z powrotem w przestworza oceanu, ale i wówczas los jego nie wesoły, gdyż ginie on i tak z powodu upływu krwi, spowodowanego atakami drapieżców.



MACIEK BZDURA GADA:

Powiadacie: Ozeń się! Ja wiem, ze ozenić się to nie śtuka. Coprawda to sam jesce nigdy się nie zeniłem, ale wiem przecie, jak się to robi, bom to widział u inksych chłopaków, którzy się juz od świętej pamięci pozenili.

Wiądomo przecie kuždemu, aby się ozenić, potrzeba do tego dzieuchy. Ani z wirzbą przy drodze, ani ze starą miotłą w sieni tego zrobić ni można, ale ostatecnym warunkiem zeniacki jest dzieucha. Niech ona będzie i taka nieposkładana, jak ten kołek w płocie, ale musi być dzieucha, bo z cem inksem jegomość ci ślubu nie dadzą, choćbyś przed niemi konał.

Ale zeby mieć dzieuchę, trzeba se ją poprzódzi wysukać, a to juz rzec nie taka łatwa. Widziałem ja zalecanki inksych chłopaków i juz nieraz próbowałem je naśladować, ale jakosik się mi to nie wiodło, Bo i jakze się na wsi zalecają? Bo trza wiedzieć, ze na wsi robią to inacej, a w mieście inacej. W mieście kawalyr chodzi koło dziopy, jak nieprzymirzając koło zgniłej gruski. Ślipiami do niej wywraca, stęka przed nią, cyli jak sam powiada wzdycha z wielkiego miłosierdzia, udaje na kazdym kroku jakiegoś waryjata, póki sie dziopa nie domyśli, cego on chce i nie powie mu: dobrze, ale po ślubie. Na wsi inacyj! Na wsi przewracanie ślipiami, wzdychanie i sklamrzenie psu na buty się nie przyda. Wiejska dzieucha nie leci na takie miastowe fidrygałki, ale ona chce u chłopaka juz przed ślubem widzieć siłę i kuniec. Latego tez na wsi, aby se zjednać dzieuchę, trzeba ją to uscypnąć w jakie najculse miejsce, to uwalić, to śmignąć nią do rowu, a wtedy pozna, jako ją okrutecnie miłujes i bez niej ani parę roków zyć nie mozes.

Widziałem ja, ze tak chłopaki robią i chciałem takze tak samo spróbować. Łońskiego roku uwidziała mi się bardzo Walerka Pasternakówna, bo to i tatuś jej mają paręnaście pszenicnych morgów i w stajni chowa się parę przyzwoitych ogonów, z których człek miałby i dla siebie i la dziecek podostatkiem mlicności. Upatrzyłem se, jak Walerka posła do rzyki chusty prać, tak ja ku niej z za krzacka, z za krzacka. Idę wam na paluskach, jak jaka hrabianka tak, ze Walerka ani mnie nie posłysała, kiedym stanął za jej plecami. Ni mogła posłysec, bo chlapała wodą na chusty i waliła je kijonicą. A ja wtedy jak ci wam buchnę Walerkę pięścią w pośladek, to jaz się do wody wywaliła. Ale była dziwka morowa, więc się w tej chwili podniosła i poznała zaraz, kto jej takie miłowanie nad rzecką wypowiada.

— Rany Boskie! — wrzasła — cyś się Maciek wścik, cy co, a tybyś mnie ty chorobo, zakatrupił, gdybym ino była słabsiejsa!

I powiedziawsy to, złapała mokre tatusiowe portki i przejechała mnie niemi parę razy po jedzeniu. Coby było dalej, nie wiem, bom nie cekał, alem posed, bo i miłość we mnie ku Walerce całkiem wywietrzała.

Ani chybi, ze miłowanie moje było za silne, ale i Walercyne nie było słabse. Dość na tem, ze od tego casu tak ja, jak i Walerka unikaliśmy się wzajemnie.

Ale jak się człowieka jaka choroba chwyci, to nie łacwo się jej pozbyć, a wiadomo, ze najwięksem i naniebezpiecniejsem choróbskiem na świecie to jest miłość. Jak ci się uchwyci, to ani spać nie mozes, ani ci jedzenie nie smakuje, ani zadna robota we wład ci nie idzie. A najgorzej jesce w marcu. Tak było i ze mną. Jak to miłowanie łońskiego roku we mnie wlazło, tak nijak nie mogłem sobie dać rady. Po smutnem jednak doświadceniu z Walerką postanowiłem se inacyj zacąć z Franką od Kudłacika. — Spotkałem ją jednego wiecoru za stodołą łujkową, jak sła z karcmy i padam jej:

— Ja ciebie tak, joj, joj... — i złapałem ją za przystrzyzone kudły i okręciłem koło palca.

Nie wiem, cy dziopa jesce nie była przyzwycajona do oświadcyn, cy mnie nie poznała, bo jak mnie palła pięstuchem pomiędzy ślipia, tom wszyćkie gwiazdy na niebie zobacył, a kiedym się potem rozglądnął, to juz z Franki ani śladu za stodołą nie było.

Próbowałem potem jesce i z Józką Fornalówną i z Baśką Kozikowną i z Jagatką od Pałuchowej, ale jakosik z zadną porozumieć się nie mogłem. Lacego, do dziś dnia nie wiem; moze moje miłowanie było za silne, a moze za słabe, bo któz to zgadnie, cego dzieucha chce i jak chce.

W takiej strapacyji minął marzec, przysły roboty w polu, a przy nich i moje miłowanie gdzieś na psy posło, tak zem się do dziś dnia jesce w panieństwie uchował.

PODRÓŻ PO DALEKICH KRAJACH.

Cejlon III.

Któż z nas nie pił nigdy kawy? Zdaje się, że niema takiego człowieka wśród ludności cywilizowanej



Rozkwitnięty krzew kawowy

całego świata; jedni pijają codziennie, inni przynajmniej w większe uroczystości. Dla wielu jest ona niemal jedynem pożywieniem. Sama kawa właściwie nie zawiera prawie żadnych składników odżywczych, ale posiadają je w znacznej mierze mleko i cukier, zaś kawa służy jako przyjemna domieszka.

Kawa nie tak dawnym jest gościem w Europie. W XVI wieku dopiero zaczęto spijać kawę w Stambule i w tym czasie uczeni botanicy europejscy dowiedzieli się o jej istnieniu. W Londynie pierwsza kawiarnia została otwarta w roku 1652, a w dwadzieścia lat później w Paryżu. Holendrzy zaprowadzili uprawę kawy na archipelagu indyjskim.

Na Cejlon sprowadzono kawę z Jawy w roku 1740, gdzie zaaklimatyzowała się bardzo dobrze i dziś daje tam największe zbiory, należąc przytem do najlepszych gatunków.

Drzewo kawowe wyrasta do 15 stóp, a rośnie przeważnie krzaczasto. Postępowi plantatorzy prowadzą je piramidalnie, nie dopuszczając wzrostu ponad 5 stóp, czem przyspieszają jej owocowanie, gdyż wówczas rodzi już w czwartym roku życia. W 25 roku swego istnienia przestaje rodzić. Owoce kawy podobne są do orzechów, o łusce jednak cieńszej; każdy orzeszek zawiera zwykle dwa ziarna. Jedno z nich czasem jest okrągłe i takie ziarna liczą się do najprzedniejszych gatunków. Owoce dojrzewają z końcem października i początkiem listopada, drzewo kwitnie w marcu. Pączki otwierają się nagle, często w przeciągu jednej nocy i napełniają powietrze bardzo przyjemnym zapachem. Po wydobyciu ziarna z łuski zsypuje się kawę na kupy dla sfermentowania, następnie płucze się ją w wodzie i suszy na słońcu.

Do uprawy plantacyj sprowadzają tysiące robotników z Malabaru, tysiące też ginie wskutek chorób i niewygód. W przeciągu 8 lat 70 tysięcy Malabarczyków umarło w plantacjach. Ale na ich miejsce przybywają inni i nigdy robotników nie braknie.

Do nas sprowadzają kawę w stanie surowym i tu następuje dopiero jej palenie, od którego również w dużej mierze zależy dobroć kawy. Nawet najlepszy gatunek kawy, źle upalony, da w gotowaniu lurę bez smaku i zapachu.

Do używania u nas kawy w większej ilości przyczyniła się wojna, w czasie której ludzie nauczyli się jej używać, szczególniej po wsiach.

Na naszym pierwszym obrazku widzimy piękny, rozkwitający krzew kawowy.

Na drugim naszym obrazku widzimy drugą roślinę, bardzo rozpowszechnioną na Cejlonie. Jest to tak zwany papyrus. Ojczyzną jej jest właściwie Egipt, ale i na Cejlonie zaaklimatyzowała się znakomicie i nadzwyczaj rozpowszechniła.

Papyrus ma łodygę bezlistną, do 4 metrów wysoką, zakończoną wiechą, która składa się z kłosków kwiatowych. W Egipcie wyrabiano z niej materjał do pisania, zwany papyrusem. W tym celu po usunięciu kory zielonej z łodygi rozcinano jej gąbczasty rdzeń na cieniutkie paski, układano je obok siebie tak, żeby dokładnie do siebie przylegały i prasowano je. Potem na tę pierwszą warstwę układano drugą w poprzek i powtarzano to kilkakrotnie, aż papier nabył odpowiedniej grubości. Następnie pobijano ten papier drewnianymi młotkami, powlekano klejem, prasowano i gładzono. Można sobie wyobrazić, ile to pracy kosztowało, zanim jeden arkusz takiego papieru został sporządzony. Papier ten odznacza się niezmierną trwałością. Staroegipskie zwoje papyrusowe są w takim stanie, że dziś można je łatwo odczytać.



Historyczny papyrus na wodach cejlońskich.

Gdy sztuka pisania coraz bardziej się rozpowszechniała, a zwłaszcza gdy wynaleziono druk, nie możnaby było nastarczyć papieru z papyrusu. Wzięto się też do wyrobu tego niezbędnego artykułu z innych materjałów. Dziś wyrabiają papier ze szmat, a także z drzewa, lub ze szmat i z drzewa. Najlepsze gatunki papieru powstają ze szmat lnianych. Wełniane i jedwabne szmaty do wyrobu papieru są nieprzydatne. Szmaty krają i gotują w ługu sodowym, a następnie w czystej wodzie. Oczyszczone i pokrajane szmaty wkładają do tak zwanego „holendra", w którym obracające się walce z nożami rozdrabniają szmaty na gęstą masę. Masę tę płuczą i blichują, czyli bielą, zapomocą chloru, a wreszcie w drugim holendrze z dodatkiem kleju rozrabiają na jednolitą papkę papierową. Z papki tej zapomocą odpowiednich walców wyciskają dopiero papier.

Papier lniany zaczęto wyrabiać w Europie dopiero z końcem XIV wieku; przedtem pisano, jak to już zaznaczyliśmy, na innych materjałach, jak na skórze (pergaminie), papyrusie, tabliczkach powoskowanych i t. p.

(Ciąg dalszy nastąpi).



(Ciąg dalszy). (Przedruk wzbroniony).

Pomysł lekarza okazał się dobry. Zmarła odtąd spoczywała w spokoju. On zaś doszedł do przekonania, że owo niezwykłe promieniowanie blizny zmarłej, podtrzymujące jej żywotny wygląd, nie było w stanie ziemi przeniknąć. Zatem albo jej duch opiekuńczy, albo też inne zjawisko nadprzyrodzone wynosiło ją na powierzchnię, by mogła je wchłaniać. Przypuszczał wreszcie, że owe promienie miały taką moc, że podnosiły wieko trumny razem z ziemią i ciało na powierzchnię. Dość na tem, że jego projekt okazał się skuteczny.

Wyrzucanie zmarłej z grobu nie powtórzyło się więcej, ludność uspokajała się powoli, a dni płynęły, jak dawniej. Daremnie komisarz policji czekał z dnia na dzień na jakieś wieści, daremnie lekarz Brutanek odwiedzał go codziennie — nikt nie zgłosił nazwiska dziwnej topielicy.

— Mam nową myśl — wystąpił lekarz z projektem, kiedy już czwarty dzień z rzędu przyszedł napróżno na policję.

— Mów pan — zachęcał komisarz. — Miałem sposobność przekonać się, iż pańskie pomysły są doskonałe.

— Może pan ma „Polskiego Heraldyka". Nie, no to bądź pan łaskaw pożyczyć mi ową połowę sygnetu zmarłej. Pójdę do którego z naszych szlachciców, przywiązujących znaczenie do herbów, utrzymujących pieczołowicie tradycję rodzinną i pożyczywszy herbarjusza, spróbuję porównać ową górną część herbu z herbami polskimi. Znalazłszy — poczniemy korespondować z rodzinami mającymi to samo godło. Tym sposobem może rozwiążemy zagadkę.

— Czekaj pan — przyjdę panu z pomocą.

Zbliżył się do aparatu i telefonował po kolei do kilku rodzin szlacheckich w okolicy i w końcu otrzymał pożądaną wiadomość, że jeden z nich posiada „heraldyka" w bibljotece.

Lekarz, zabrawszy połowę sygnetu, udał się do owego domu. Mimo najskrupulatniejszych poszukiwań nie znalazł podobnego herbu.

— Zatem — przyszło mu na myśl — zmarła nie należała do polskiego rodu szlacheckiego. Musiała jednak być Polką, skoro tajemnicze napisy na sygnecie i wytatuowane znaki na piersiach, miały polskie brzmienie.

Podziękował szczerze za użyczenie herbarjusza i odszedł. Tajemnica w dalszym ciągu została niewyjaśnioną.

W jedenastym dniu, po znalezieniu tajemniczej topielicy — natknął się w dzienniku na nowy artykuł o niej. Tym razem ktoś dokładnie opisał dziwne zjawiska, które wystąpiły w czasie sekcji — jak również po jej śmierci. Artykuł zatytułowano: „Dziwy życia". Dokładny opis niektórych znanych szczegółów, znanych tylko jemu i lekarzowi powiatowemu nasunął mu myśl, iż autorem artykułu musiał być nie kto inny, jeno lekarz powiatowy. Pomiędzy wierszami umieszczono ponownie fotografję zmarłej.

W czwartym dniu po ukazaniu się artykułu, a w piętnastym po wypadku, odwiedził go komisarz policji. Przeczucie powiedziało mu, że wizyta ta musi mieć związek z nieszczęśliwą, która niepodzielnie zajęła jego umysł.

Po przywitaniu komisarz podał mu list ze słowami:

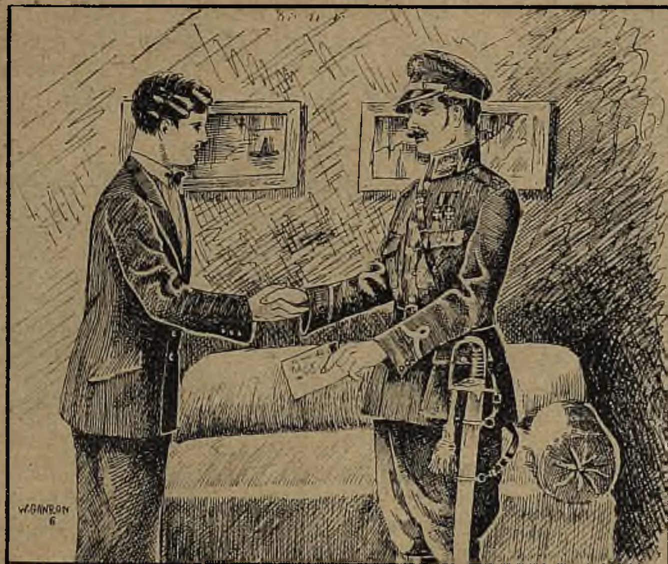
— Patrz pan, oto jedyny skutek, jaki przyniosły artykuły w gazetach.

Rzuciwszy okiem na kopertę, zobaczył pismo nieudolne, niewyrobione, stawiane ręką wieśniaka. — List pisany był tym samym charakterem. Jak się z treści przekonał — pochodził on rzeczywiście od wieśniaka, Wojciecha Malczyka z wioski Babie, powiatu nowosądeckiego. Treść jego brzmiała:

„Szanowna komendo! Przeczytałem opis wypadku w naszej gazecie ludowej. Może to, co piszę, na nic się nie przyda, jednak sumienie każe mi podzielić się swemi wiadomościami. Zamieszczona w gazetach fotografja topielicy jest niezwykle podobna do mojej córki. Gdyby nie wzmianka w gazecie, że zmarła może mieć najwyżej 21 lat — przyznałbym się do niej. Córka moja, gdyby żyła, liczyłaby dzisiaj 42 lata. Uciekła ona z domu przed 22 laty, a w rok potem otrzymałem wiadomość z Debreczyna, iż zmarła w szpitalu tego miasta. Śmierć jej była tragiczną. Została bowiem zabitą sztyletem przez umysłowo chorą. Wiem, że to panów na żaden ślad nie naprowadzi — jednak poczuwam się do obowiązku o tem napisać".

— Widzi pan — odezwał się komisarz — iż nasze poszukiwania spełzły na niczem. Nie odkryliśmy bowiem najmniejszych śladów. Zmarła nietylko pozostanie nieznaną, ale nadto nie jesteśmy w stanie określić, jaki wypadek pozbawił ją życia. Ja już swoje dochodzenia ukończyłem i akta oddaję sądowi.

— Zatem ja zajmę się tą sprawą panie komisarzu — odrzekł lekarz Brutanek. — Zabawię się w detektywa i mam nadzieję, że mi się uda rozwiązać całą zagadkę. Dochodzę bowiem do przekonania, że te nienaturalne wydarzenia muszą mieć jednak naturalne źródło i ja to źródło chcę odnaleźć. Weź pan pod uwagę owe napisy na piersiach zmarłej identyczne z napisami w ekscentrycznym sygnecie. Wspo-



Po przywitaniu komisarz podał mu list...

mnij pan o owych dwóch fotografjach, które, jak sam przypuszczałeś, mogą przedstawiać dwie siostry bliźniaczki. Przypomnij pan sobie dziwne zjawiska przy sekcji ciała, a w końcu owo dwukrotne wyrzucanie ciała z ziemi. O rozwiązanie takiej zagadki warto się pokusić — choćby ze znacznym nakładem pieniędzy.

— Szczęść panu Boże! — odrzekł komisarz. — Ja wątpię, czy się panu to uda.

— A ja nie tracę nadziei. Ot, weźmy naprzykład ów nieznaczny dla pana list wieśniaka. Pamięta pan, iż monogram zawiera literę „M", która może być nazwiskiem topielicy. Córka jego zmarła przed 21 laty, a czy nie na tyle określiliśmy wiek topielicy? Może ona być zatem jego wnuczką — nieślubną córką jego córki.

— Ale weź pan pod uwagę jej sygnet z herbem — przemówił komisarz — i koroną szlachecką przy monogramach. Gospodarz zaś, a raczej jego nazwisko nie może być szlacheckie. Również ośmielę się w to wątpić, by zmarła, nawet gdyby była jego wnuczką, i używała szlacheckich godeł, chciała nosić takie pospolite nazwisko.

— A jednak ja popróbuję szczęścia — upierał się lekarz.

— Szczęść panu Boże! — wyrzekł poraz drugi komisarz.

— Pozwól mi pan pozostawić u siebie jakiś czas ów sygnet, list i obie fotografje z medaljonu zmarłej — wyrzekł przed pożegnaniem lekarz Brutanek.

— Dobrze — opowiem w sądzie o pańskich zamiarach — przypuszczam, że nic przeciwko temu nie będą mieli. Sprawa i tak zostanie z całą pewnością zaniechana — jako niewyjaśniona.

Na tem też skończyło się.

Miasto uspokoiło się cokolwiek — zmarła nie dawała wyraźnego powodu do zaprzątania umysłów ludzkich. Spała spokojnie w grobowcu.

— Wielka pani — ironizowano jedynie — nie chciała się dusić w ziemi. Gdyby jednak odwiedzili cmentarz wśród ciemnej nocy — przekonaliby się, że „dziwy" nie ustawały. Kiedy bowiem niebo zasnute było chmurami, z grobowca na południową stronę świata wybiegały jakieś blado fioletowe falujące nici świetlane. Ciało zmarłej zachowało w dalszym ciągu swój żywotny wygląd i bez przerwy promieniowało.

W mieście jednak ucichło. Tu i ówdzie wspominano jeszcze o niej, a nawet straszono nią niegrzeczne dzieci — naogół przecież nie interesowano się jej osobą jak początkowo. Jedynie w willi za Rabą odżyły cośkolwiek rozmowy na ten temat, skoro zjeżdżać zaczęli bogaci letnicy.

W tydzień po oddaniu sprawy przez policję sądowi okręgowemu, rozeszła się wieść, iż lekarz Brutanek opuszcza miasto. Cios ten ugodził szczególnie w matki — mające córki na wydaniu. Nie mogły się z tem pogodzić, iż taki młody, przystojny lekarz nie ożenił się w mieście i nie pozostał w nim — mając dość rozległą praktykę i wzięcie.

Mało kto jednak znał prawdziwy powód, gdyż komisarz policji, jedyny pan sekretu, nikomu nic nie powiedział. Oprócz niego cel podróży i przyczyny zaniechania praktyki lekarskiej znał sędzia śledczy w sąsiedniem mieście powiatowem. Prócz nich, których ta sprawa poza urzędowem znaczeniem nie obchodziła — jeden Brutanek interesował się nią tak żywo... Postanowił nie liczyć się z wydatkami.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Krwawa zabawa.

Powiastka zapustna.

Karnawał trwał tego roku bez mała przez ośm tygodni, to też ludziskom na uciechach wszelakiego rodzaju zupełnie nie zbywało. Mimo tego, gdy nadeszły zapusty, poczęli się tu i ówdzie gromadzić parobczaki, a radzić i rozprawiać, aby w niedzielę zapustną wyprawić granie, jak się patrzy.

Młodym o zabawie wiele mówić nie trza, ale wystarczy jeden wspominek, aby całe serce do niej rozgorzało, aby nogi same rwały się do podrygu.

Granie postanowiono urządzić u Szymona Patuły, jako że tam izba była największa, a i do karczmy tylko kroków parę. Do zabawy szykowano się dni kilka — a gdy tylko w niedzielę jegomość zakończył nieszpory, wyrwali się Stach Przyzba i Witek Mydlarczyk po skrzypków do sąsiedniej wsi, a nie po byle jakich, ale po takich, co to i marsia zagrać potrafili i tramlapolka nie była im obcą, a nawet walce, choć nie dokładnie, były im znane. A byli nimi dwaj bracia Dryndziele, a basowywał zwykle krzywy Józek Pasternak.

Ugoda pomiędzy parobczakami a muzykantami stanęła prędko: po 4 złote dla skrzypków za noc, a dwa złote dla basisty, no i to, co przodownik do basów rzuci.

Nastroili skrzypkowie skrzypki, ponaciągali smyki i za progiem urżnęli takiego uroczystego marsia, że aż ziemia dudniła, a podkówki same ogień krzesały. Poprzedzani przez Stacha i Wicka udali się do Podlesia, gdzie właśnie zabawa miała się odbywać.

Dwaj młodzi parobcy ujęli się za ręce, jako że żyli od maleńkości w okrutnej przyjaźni, pozakładali czapki na bakier, a pośpiewując i przytupując, prowadzili grajków do zagrody Szymona Patuły.

Do gromadki, złożonej początkowo z pięciu osób poczęło się ich przyłączać coraz więcej, tak, że nim doszli do Szymonowej chaty, gromada liczyła do kopy samej młodzieży.

Na przywitanie przybyłych wyszedł sam Szymon, nie dlatego, jakoby zabawy lubił, ale dla interesu, o którym właśnie chcemy opowiedzieć.

Patuła miał córkę, liczącą dwadzieścia dziewięć wiosen panieńskiego żywota, której już się panieństwo sprzykrzyło i radaby była wyjść za mąż. Pomimo jednak, że ojciec grosza nie skąpił i byłby dał wiano paradne, kawalerzy od jego Jagusi stronili, a to z tego powodu, że Pan Bóg jej wcale urodą nie obdarzył. Niedość, że, jak to mówią, patrzała lewem okiem do prawej kieszeni, ale nadto miała buzię tak czerwoną, że niczem ćwikłowy burak.

Szymon, pozwalając na granie w swej izbie, sądził, że może się tam który z kawalerów na jego córuchnę złakomi i, choćby po długim namyśle, za żonę pojmie. Młodym rozchodziło się znów tylko o to, aby do hulania była izba obszerna, a dziewuch nazłazi się tyle, że będzie w czem wybierać. I tak za ogólną zgodą granie miało się odbyć w izbie Szymona.

Ale wróćmy do naszej gromadki, wstępującej w progi Szymonowe.

Przybyli obstąpili wokół obszerną izbę, muzykanci usiedli na stole i rżnęli obertasa, aż hej. Młodzi poczęli się rozglądać za sobą i upatrywać, który którą ma pojąć.

Ale nie długo namyślali się! Poskoczył Stach Przyzba do Józi Musiałówny, ujął w pół i tak zakręcił nią ogniście, że aż lampa wisząca na ścianie poczęła się chwiać swym płomieniem ze wzruszenia, migać z radości, póki nie zgasła.

Wnet ją jednak zaświecono ponownie. Wtedy Stach sięgnął do kieszeni, ujął w garść miedziaków, a sypnąwszy je do basów, zanucił krakowiaka:

Twoje oczka, moja Józiu,
Milsze mi nad złoto!
Co tam ludzie mówią o nas,
To ja nie dbam o to.

Muzykanci pociągli smyczkami tak siarczyście, że aż pies, siedzący na przyzbie, zawył od wielkiego strachu.

Stach ujął dziewczynę w pół, przycisnął do siebie i zakręcił nią w powietrzu, a zapomniawszy o całym świecie, był szczęśliw, że swą ukochaną ma przy sobie. Nie myślał o niczem innem, bo zdawało mu się, że mknie z nią gdzieś w zaświaty, tam, gdzie oprócz nich dwojga i ich ogromnej miłości nikogo więcej nie będzie.

Za pierwszą parą poszły w tan inne, aż cała izba zawirowała. Zdawało się, iż wszyscy zmysły postradali, a całym celem ich męczącej pracy jest jakiś wyścig o zakład, kto więcej kółek zrobi.

Tańczono długo, tańczono dotąd, póki muzykantom ręce nie osłabły — wtedy ci przestali grać odrazu.

Dziewczęta posiadały na ławach dla odpoczynku, parobczaki przechadzali się po izbie. Skorzystał z przerwy Witek Mydlarczyk, który cały czas nie tańczył, i zbliżył się ku Józi.

— Hej! jakaś ty kraśna! — zawołał i urwał nagle, a po chwili dodał: A kiedyż ze Stachem idziecie na pacierze?

Rozśmiała się dziewczyna, ale zamiast odpowiedzi, zapytała:

— A ty Witku z kim hulałeś?

Popatrzał na nią z jakąś tajoną złością i zasyczał przez zęby:

— Ja tańczyłem z boleścią swoją, ja hulałem z zazdrością!... Józia!... — począł ciszej — ja byłem ślepy ja byłem głupi! Kompaniłem się ze Stachem, anim nie przypuszczał, że on się ku tobie ma. A on mi słowem nie pisnął.

— Kiep ten, kto swoją miłość przed światem trąbi — odparła Józia.

— Przed światem nie, ale przed druhem serdecznym zwierzyć się był powinien — zasyczał Witek.

— I cóżby ci z tego przyszło? — próbowała bronić Stacha.

— Co? powiadasz? — mówił dalej Witek — jabym mu był miłość ku tobie wybił z głowy, jabym mu był wyperswadował. Józia, ty nie Stacha, ty moją być musisz.

— Przestań! — przerwała Józia — przestań, bo kochania nikt nakazać nie może; rodzi się ono samo i samo wzrasta, ale kochania zasiać, ani zasadzić nie można.

— Ale wyrwać je można — krzyknął Witek — i ja je wyrwię z serc waszych.

Rzekłszy to, wmieszał się Witek w tłum młodzieży.

Odezwały się znowu skrzypki, zahuczały basy. Był to znak, że któryś z młodzieńców przemówił do muzykantów zapomocą groszy. Rozpoczęły się tany na nowo, tylko jeszcze tłumniejsze, bo coraz nowi tanecznicy przybywali. Wśród miejscowych poczęli się przewijać i z sąsiednich wsi. Zrobiło się tak ochoczo, jak tylko ochoczo wśród młodych być może, ale i powietrze z każdą chwilą stawało się cięższe od oddechów ludzkich, że lampka zaledwie słabym płomykiem błyskała.

Zabawa była w całej pełni, ale wśród bawiących się nie było Witka Mydlarczyka. Ten po krótkiej, ale namiętnej rozmowie z Józią wyszedł z izby i wprost udał się do karczmy. Tam usiadł na ławie i dumał coś długo, aż wreszcie zawołał:

— Hej, żydzie, wódki, a mocnej!

Usłużny Mosiek postawił w tej chwili przed nim półkwaterek śmierdziuchy, która natychmiast znikła w gardzieli Witka. Po jednym półkwaterku poszedł drugi i trzeci... Witek pił, a jakoś ani rusz upić się nie mógł. Przywołał więc żyda, rzucił mu garść miedziaków i skierował się ku chacie Szymona.

Gdy przyszedł na podwórze, wyciągnął tęgi kół z płotu i wmieszał się w tłum rozbawionej młodzieży. Właśnie tańczono polkę. Stach obejmował swą ręką w pas Józię, a oczyma zaglądał w jej uśmiechnięte oczka i obydwoje wirowali tak, jak dwa duchy gdzieś w zaziemskiej krainie: pełni wesela i szczęśliwości. Tuż za nimi wywijał jakiś niewybredny kawaler z Jagusią, córką Szymona.

Gdy Witek zobaczył Józię przy boku Stacha, zakipiała w nim cała nienawiść. Roztrącił najbliżej stojących i z całym rozmachem rzucił się na środek izby, ściskając kół w obu rękach.

Wódka zaciemniała mu umysł, więc sam nie wiedział, co czyni. Podniósł kół do góry i gruchnął w to miejsce, w którem zobaczył głowę Stacha.

Zrobił się krzyk i usłyszano ciało padające na ziemię. Ale w tej chwili lampka zgasła, więc nie można było dokładnie rozeznać, co się stało.

Gdy zaświecono ponownie, oczom zebranych przedstawił się widok, okropny: na ziemi, w kałuży krwi, leżała Jagusia Szymkowa, rzężąca w boleściach przedśmiertnych.

Posłano natychmiast po księdza proboszcza i po lekarza. Ksiądz zastał ją jeszcze żyjącą, ale lekarz przybył już zapóźno.

Zabawa zakończyła się smutno.

Witek krył się przez kilka dni, ale w końcu sam oddał się w ręce żandarmów, żałując gorąco swojego czynu. Mimo to kara spotkała go surowa.

Na trzeci dzień Szymon wyprawił Jagusi wspaniały pogrzeb, na którym ksiądz proboszcz powiedział, że przyczyną śmierci Jagusi nie była zazdrość, ale nieszczęsna wódka, która biednego Witka do zbrodni doprowadziła.

Na zakończenie dodać musimy, że po skończonym poście odbył się ślub Stacha z Józią, i sute weselisko, na którem jednak nikt się nie upił, bo od owego smutnego wypadku z zabójstwem Jagusi, cała wieś odprzysięgła się wódki.

Antoni St. Bassara.



Poradnik gospodarczy.

Żywienie królików w zimie.

Każdy hodowca powinien wiedzieć, jaki wpływ wywierają rozmaite pasze na wzrost i rozwój jego królików. Bez tych wiadomości jest prawie niemożliwa racjonalna i pomyślna hodowla królików. Najsilniejszą i tłuszcz tworzącą paszą jest owies, mleko i śrót jęczmienny. Bywają wprawdzie zalecane jeszcze i inne pasze treściwe, ale bądź co bądź nadmienione wyżej trzy rodzaje paszy są najodpowiedniejsze. Oprócz owsa i jęczmienia, do pasz treściwych zaliczyć należy i inne ziarna zbożowe, otręby parzone gorącą wodą i wymieszane z gotowanemi ziemniakami, co powinno stanowić codzienną paszę dla królików, która bardzo korzystnie wpływa na rozwój zwierzątek. Również dobrą paszą dla królików tak starych, jak i młodych, jest suchy chleb, marchew i t. p. Buraki i bulwy nie mają już tej wartości pożywnej, jak pasze poprzednio wymienione. Jeżeli skarmimy codziennie buraki lub rzepę, to pojenie zwierząt wodą jest zbyteczne, gdyż pasza ta zawiera w sobie wiele wody. Dobre siano łąkowe jest niezbędne, a siano z koniczyny jest jeszcze lepsze dla królików. W zimie królikom nie należy dawać zimnych buraków naraz w większej ilości, a przed karmieniem powinno się liście z buraków odjąć, bo zawierają one w sobie kwas szkodliwy dla królików. — Zmarznięte liście kapusty i wogóle zmarznięta pasza, np. buraki, są bardzo szkodliwe dla królików i takiej paszy nie należy skarmiać. Jeżeli w zimie nie mamy paszy soczystej, jak n. p. buraków, to królikom musi się dawać wodę jako napój, ale nie powinna ona być zimną. Można też zamiast wody dawać jako napój mleko, a wyjdzie to królikom na dobre.

Królikom przeznaczonym na rzeź dawać przynajmniej na dwa tygodnie przedtem miękką paszę, złożoną z gotowanych ziemniaków i otrąb, ażeby się nieco podtuczyły.

Skórki królicze są w grudniu i styczniu najcenniejsze, gdyż w tym czasie uwłosienie jest najgęstsze. W zimie, jeżeli chlewki są chłodne, to należy dawać więcej słomy na podściółkę jak w lecie.

Poradnik lekarski.

Jemioła pospolita *(viscum album).*

Jemioła pospolita, mały zielony krzew, rosnący jako pasorzyt na drzewach, przedewszystkiem na dębach, ponadto na lipach, brzozach, sosnach, jodłach, jesionach, osikach, leszczynie, dzikich jabłoniach i gruszach. Łodyga tej roślinki i każda gałązka dzieli się na dwie części, wskutek czego całość wygląda z daleka jak ptasie gniazdo. W miejscach nowych gałązek są łodygi kolankowato zgrubniałe. Wysoka do czterech stóp, ma liście lancetowate, naprzemianległe, grube, tęgie, nieząbkowane, żółtawo zielone i przez zimę trwające. Kwiaty małe, zielonawe, nie szypułkowe, na wierzchołkach gałązek po 2 i 3 skupione, pojawiają się już w marcu i kwietniu. Owoce, jagody w jesieni dojrzewające, różowe, przeźroczyste, wielkości grochu, zawierają lepki sok i podługowate nasiona, chciwie pożerane przez ptaki leśne, zwłaszcza jemiołuszki, które się też przyczyniają najwięcej do jej rozmnażania, albowiem lepkie ziarna przyczepiają się do ich dziobów, a ptaki wycierając je o gałązki, w ten sposób je przeszczepiają.



Starożytni wielką i tajemniczą moc przypisywali jemiole, zwłaszcza rosnącej na dębach; wiele narodów oddawało tej roślinie cześć religijną. Obecnie używamy w celach leczniczych wywaru z jagód lub ziela przeciwko padaczce, kurczom, krwotokom, katarom płucnym i przewodu pokarmowego. Sproszkowane jagody wypędzają robaki.

Kto się chce dowiedzieć bliższych szczegółów o jemiole i innych ziołach leczniczych, kto chce je zbierać lub uprawiać, niech napisze do towarzystwa: „Liga Zdrowia“, Kraków, Wolska 36 (prezes Dr Breyer), które to towarzystwo propaguje higjenę i przyrodolecznictwo, zwalcza wszelkie szkodliwe dla zdrowia przesądy i nałogi, jak całowanie rąk i t. p. i wydaje czasopismo, zawierające w każdym numerze opis ziół leczniczych z rycinami. Prospekty bezpłatnie.

KRONIKA.

Odznaczenie ks. biskupa Bandurskiego. Rada miasta Krakowa uchwaliła na onegdajszem posiedzeniu nadać w dwudziestopięcioletnią rocznicę biskupstwa ks. biskupowi Władysławowi Bandurskiemu obywatelstwo honorowe miasta Krakowa. Zasłużony Jubilat przez całe życie swe zagrzewał młode umysły do umiłowania Ojczyzny, a w czasie wojny głosił i dopominał się o nieprzedawnione prawa Polski do wolności.

Zgon b. ministra Kiedronia. W Berlinie w sanatorjum zmarł w 51 roku życia b. minister przemysłu i handlu Józef Kiedroń. Był on ministrem w gabinecie swego szwagra Władysława Grabskiego i na tem stanowisku położył wielkie zasługi dla kraju.

Posady dla wysłużonych podoficerów. Ministerstwo spraw wewnętrznych wystosowało rozporządzenie do wszystkich podległych sobie władz i urzędów, aby te nadawały w razie zapotrzebowania odpowiednie posady przedewszystkiem wysłużonym podoficerom zawodowym.

Umowa polsko-rosyjska. W ubiegłym tygodniu doszła do skutku umowa polsko-rosyjska tak zwany pakt o nieagresji. W myśl tej umowy obydwa państwa zobowiązują się przez lat trzy załatwiać wszelkie spory polubownie, a w razie zatargu zbrojnego jednego z nich z jakiemś państwem trzeciem zachować się neutralnie. Gdyby po trzech latach żadne z państw umowy tej nie wypowiedziało, zostaje ona temsamem przedłużona automatycznie na następne lata. Jest to jeszcze jeden dalszy krok do utrzymania pokoju, co przedewszystkiem nie podoba się Niemcom.

Miljonowa kradzież w Krakowie. Do Grand Hotelu w Krakowie przyjechała w ubiegłym tygodniu z Warszawy niejaka pani Ciunkiewiczowa, mieszkająca dotąd w Paryżu. Przywiozła ona ze sobą pieniędzy i kosztowności wartości około półtora miljona. Wszystkie te przedmioty trzymała w pokoju w dwóch walizach. Kiedy następnego dnia powróciła z miasta do swego pokoju, zauważyła, że zamki u waliz są poodrywane, a walizy próżne. Zawiadomiła natychmiast o tem policję, która stara się wykryć ewentualnych sprawców kradzieży, a względnie zbadać, czy p. Ciunkiewiczowa została rzeczywiście okradziona. Zaznaczyć należy, że p. Ciunkiewiczowa miała swe kosztowności ubezpieczone w Anglji na 4 miljony franków francuskich.

Ofiary wódki. W ubiegłym tygodniu miał miejsce w Karniowie koło Krakowa tragiczny wypadek, spowodowany wódką. A mianowicie do sklepu Geislera przyszło z Kościelnik trzech wiejskich chłopaków i zażądało wódki. Geisler sprzedał im flaszeczkę wódki, ale powiedział, że nie pozwoli wypić jej w lokalu. I rzeczywiście przybysze wypili wódkę na podwórzu, lecz było to jeszcze dla nich zamało. Powrócili więc do sklepu i zażądali ponownie wódki. Geisler i tym razem sprzedał im wódkę, ale pod warunkiem, że wypiją ją na polu. Przybysze tym razem jednak nie usłuchali Geislera, ale ubiwszy szyjkę flaszki, poczęli pić wódkę, przyczem przyszło do sprzeczki. Jeden chwycił drugiego za gardło, a następnie zaczęli rozbijać flaszki z naftą. W pewnym momencie jeden z nich, Wojciech Moksa, wyjął z kieszeni rewolwer, Geisler chciał mu go wyrwać, ale wówczas padł strzał, Geisler wypchnął awanturników za drzwi, a sam schował się do mieszkania i wiedząc, że napastnicy powrócą, ujął rewolwer. Wówczas przez okno padł znowu strzał, który ranił śmiertelnie krewną Geislera, Marję Jaruchowską. Teraz i Geisler nie został bezczynny. Przez firankę w oknie zaczął strzelać w kierunku napastników. Strzały te dla awanturników były fatalne: dwóch z nich padło trupem na miejscu, trzeci tylko, Stanisław Moksa, zdołał ujść cało. Na drugi dzień aresztowano go i odstawiono do więzienia w Krakowie. Oto tragiczne skutki nadużycia alkoholu.

Zabili go widłami. W Kolbuszowej Górnej w domu Stanisława Wiktora powstała bójka między synem jego, umysłowo chorym 29 letnim Franciszkiem, a rodzeństwem. Pobity Franciszek Wiktor zbiegł i ukrył się w stodole Ludwika Brody. Na widok ścigających go z widłami w ręku ojca i brata, warjat podpalił stodołę i rzucił się do ucieczki. Do ścigających przyłączył się właściciel podpalonej stodoły, Broda, uzbrojony również w widły. Ścigający, dopędziwszy uciekającego, zakłuli go widłami na śmierć. Sprawców zabójstwa aresztowano.

Straszny czyn furjata. Wieś Giedlarowa w powiecie łańcuckim była widownią krwawej masakry, urządzonej przez oszalałego furjata. Zamieszkały tam Franciszek Brzeżań, uważany od dawna za umysłowo chorego, dostawszy nagle ataku furji, chwycił za siekierę i pokaleczył ciężko żonę Anielę oraz usiłujących go ubezwładnić sąsiadów Jana Kulę i Michała Cichonia. Dookoła domu Brzeżana zgromadzili się ludzie, którzy bezradnie z oddali przypatrywali się zajściu. Dopiero przybyły na miejsce policjant zagrodził drogę obłąkanemu, który z podniesioną do uderzenia siekierą rzucił się na niego. Po krótkiej walce policjantowi udało się wyrwać z rąk warjata siekierę, nie zdołał go jednak ubezwładnić. Oszalały Brzeżan puścił się pędem gościńcem w stronę Leżajska. Za nim w znacznej odległości biegł tłum mieszkańców wsi. Nieopodal Leżajska rzucił się furjat na idącego drogą listonosza wiejskiego, któremu odgryzł dwa palce u prawej ręki i kawałek policzka. Kres krwawemu żniwu szaleńca położyła dopiero policja w Leżajsku, która ubezwładniła Brzeżana i skrępowanego sznurami odwiozła do urzędu gminnego w Giedlarowej, a stamtąd odwieziono go do zakładu obłąkanych w Kulparkowie.

Tragiczne wypadki przy pracy. Robotnica rolna, Anna Ochman z Koziny, pow. Przeworsk, zatrudniona na folwarku księcia Lubomirskiego w Kozinie, w czasie pracy przy młocarni, gdzie podawała snopy, pośliznęła się i wpadła w otwór młocarni w ten sposób, że tryby obcięły jej nogę powyżej kolana. Ofiarę wypadku przewieziono do szpitala w Przeworsku, gdzie nie odzyskawszy przytomności, zmarła. — Zatrudniony w kamieniołomach firmy St. Żółkiewicz i spółka w Czudcu robotnik Franc. Paciorek wskutek nieumiejętnego podkopania ściany spowodował jej runięcie. Paciorek został przywalony gruzami. Przewieziony d szpitala powszechnego w Rzeszowie zmarł wkrótce.

Zastrzelenie bandyty we Lwowie. Policja lwowska otrzymała wiadomość, że we Lwowie przebywa groźny bandyta Waszkiewicz. Urządzono więc na niego obławę i ujrzano go w ulicy Rutkowskiego, biegnącego z rewolwerem w ręku Policja rzuciła się za nim w pościg, ten jednak ostrzeliwując się gęsto, zdołał umknąć aż na ulicę Źródlaną, gdzie wbiegł na jedno z podwórz i wyskoczył na dach szopy, skąd rozpoczął strzelaninę do nadbiegających policjantów. Policjanci odpowiedzieli strzałami. W czasie obustronnej strzelaniny Waszkiewicz został ranny kilku kulami w głowę i spadł na ziemię. Przewieziono go jeszcze żywego do szpitala, ale tam zmarł wkrótce.

Napad na karczmę. Trzej zamaskowani bandyci dokonali napadu rabunkowego na karczmę Dawida Rottenberga w Suszycach koło Gródka Jagiellońskiego. Uzbrojeni w rewolwery steroryzowali Rottenbergów i zabrali stamtąd w gotówce 27 zł., oraz pewną ilość wyrobów tytoniowych. Następnego dnia bandytów tych wytropił

posterunkowy Fr. Korzeniowski, z posterunku w Zaszkowie. Gdy ich zatrzymał w gminie Zawadów, jeden zbiegł, dwaj zaś rzucili się na posterunkowego i usiłowali go rozbroić. Po krótkiej walce post. Korzeniowski obu napastników ubezwładnił, poczem skutych odstawił do sądu we Lwowie. Są to Michał Kozak z Gródka Jag. i Aleksander Robuszka ze Lwowa. W kilka godzin później ujęty został trzeci członek szajki Michał Huk, również ze Lwowa.

Okradzenie ks. Panasia. Do mieszkania ks. Józefa Panasia, znanego działacza politycznego, zamieszkałego w budynku parafjalnym przy kościele św. Mikołaja we Lwowie, włamali się w nocy narazie nieznani złodzieje i obrabowali doszczętnie. Ks. Panasia wówczas we Lwowie nie było.

Zbrodnia w Brzuchowicach. Przed dwoma tygodniami zamordowano w Brzuchowicach 17 letnią córkę inżyniera Zaremby ze Lwowa. Podejrzenie padło odrazu na kochankę Zaremby niejaką Gorgonową, która jednak do winy się nie przyznała. Aresztowano ją i osadzono w więzieniu. Ponieważ na futrze Gorgonowej znaleziono krew, przeto oddano ją do chemicznego zbadania. Jak ustalili uczeni lekarze, krew na futrze była rzeczywiście krwią zabitej, więc też zdaje się nie ulegać wątpliwości, że morderczynią była Gorgonowa. Zresztą sprawę tę wyjaśni dokładniej proces sądowy, który odbędzie się wkrótce.

Tragiczny wypadek podczas ćwiczeń wojskowych. Podczas ćwiczeń wojskowych w Złoczowie padł pomiędzy żołnierzy strzał armatni, który zabił kaprala Wolińskiego i ciężko ranił dwóch szeregowców. Co było powodem tak falalnego strzału, nie ustalono.

Przypadkowe postrzelenie. Leśniczy lasów prywatnych w Złotym Potoku postrzelił przypadkowo swego kolegę Władysława Pawłowskiego.

Aresztowanie szajki handlarzy sacharyną. W Stanisławowie aresztowano Marję Fuchs i Chanę Freundlich, które od dłuższego czasu trudniły się handlem sacharyną. Podobno aresztowane były tylko agentkami i otrzymywały towar od głównego dostawcy, który również został aresztowany, ale którego nazwiska ze względu na toczące się śledztwo władze nie podają. Policja prowadzi dalsze śledztwo, w wyniku którego aresztowała jeszcze kilka innych osób.

Samobójstwo w szpitalu. W szpitalu stanisławowskiem popełnił samobójstwo 45 letni rolnik z Lackiego Szlacheckiego Iwan Kukunyk. Kukunyk nabawił się jeszcze na froncie choroby płuc, która z powodu zaniedbania przeszła w ostatnie stadjum nieuleczalnej gruźlicy. Zdając sobie sprawę ze stanu swojego zdrowia, wszedł do jednej z sal szpitalnych i odkręcił kurki gazowe. Gdy wieczorem służący chciał wejść do tego pokoju, zastał drzwi zamknięte. Po wyważeniu drzwi okazało się, że Kukunyk popełnił samobójstwo przez zatrucie się gazem. Wszelka pomoc okazała się bezskuteczna.

Morderstwo pod Drochobyczem. Wypadek dzikiego morderstwa zaszedł we wsi Popiele, pow. drohobyckiego, a ofiarą jego padł tamtejszy rolnik Mikołaj Woźniak. Sprawa przedstawia się następująco: Między zamordowanym wieśniakiem a krewnym jego Wawrzyńcem Jakóbowem, również rolnikiem, istniał antagonizm na tle nieporozumień familijnych. W szczególności Woźniak zarzucał swemu krewniakowi, że obchodzi się źle z żoną swoją i maltretuje ją niemiłosiernie, posądzając ją bez najmniejszej przyczyny o zdradę małżeńską. W miniony czwartek wieczorem przybył Jakóbów do mieszkania Woźniaka i po ostrej sprzeczce wydobył z kieszeni rewolwer i strzelił do Woźniaka. Oddany z bliskości strzał był celny. Woźniak runął na ziemię, zalewając się obficie krwią, a po chwili skonał. Po czynie morderca zbiegł, lecz został niebawem schwytany. Stanie on przed sądem doraźnym.

Aresztowanie szajki fałszerzy. Z Sosnowca donoszą, że władze tamtejsze wpadły na trop szeroko rozgałęzionej akcji fałszowania monet 5-cio i 2-złotowych. Przeprowadzone dochodzenia ustaliły, że centrala fałszerska znajdowała się w powiecie olkuskim pod Skałą. Fałszerze, rekrutujący się z pośród osób, pochodzących z powiatów: będzińskiego, zawierciańskiego, olkuskiego i chrzanowskiego, rozpowszechniali monety fałszywe na terenie tych powiatów głównie za pośrednictwem gospodarzy jeżdżących na jarmarki. Całą szajkę aresztowano. Na czele jej stał niejaki Niewiadaż z miejscowości Minoga i bracia Mosurkowie. Jak zdołano stwierdzić, zdołali oni puścić w obieg już kilka tysięcy wyprodukowanych falsyfikatów.

Mowa na własnym pogrzebie. Do jednej z fabryk płyt gramofonowych w Warszawie zgłosił się pewien obszarnik z Kieleckiego i zapłaciwszy 500 zł. wygłosił mowę pogrzebową na własnym pogrzebie, która równocześnie została utrwalona na płycie gramofonowej. W mowie tej dziękuje wszystkim, którzy przybyli na jego pogrzeb i prosi ich o dalszą pamięć po śmierci. Pan ten wyraża życzenie, aby płytę tę na jego pogrzebie puszczono w ruch, a kiedy to nastąpi, sam nie wie, gdyż nie wie, kiedy śmierć jego będzie miała miejsce.

Zgon sędziego na sali rozpraw. W Warszawie w czasie rozprawy sądowej zasłabł nagle 35 letni sędzia Wacław Brykner. Chorego przeniesiono do kancelarji i zawezwano Pogotowie ratunkowe. Ale gdy lekarz przybył, chory już nie żył. Padł on więc na posterunku swej pracy.

Konkurs żarłoków. W Warszawie odbędzie się na zakończenie zapust konkurs żarłoków. Każdy ze zgłaszających się wpłaci 2 złote, za które będzie mógł zjeść tyle pączków, ile tylko potrafi. I nie dość na tem, jeżeli bowiem zje 15 pączków, dostanie swoje dwa złote z powrotem, jeżeli zaś zje 20 pączków, stanie do ściślejszego konkursu, w którym zwycięzca otrzyma 100 złotych nagrody i tytuł króla żarłoków. Zdaje się, że najlepiej na tym konkursie wyjdą lekarze i apteki.

Krwawe porachunki. W Żyrardowie wynikła bójka między Marjanem Wodzisławskim a Teodorem Oskierą, na tle porachunków osobistych. Na pomoc Wodzisławskiemu przybyło kilkudziesięciu przyjaciół, więc też łatwo pokonał Oskierę. Zwycięzcy na widok nadbiegających policjantów rozbiegli się na wszystkie strony. Ale pokonany Oskiera nie dał za wygraną. Gdy policjanci odeszli z pola walki, pobiegł do mieszkania, wyjął ze szafy rewolwer swego brata i wybiegł na ulicę, aby bezzwłocznie pomścić swoją porażkę. Na nieszczęście wkrótce napotkał Wodzisławskiego i nie namyślając się wiele, strzelił do niego trzykrotnie. Ranny śmiertelnie Wodzisławski osunął się na ziemię; odwieziono go do szpitala, a Oskierę aresztowano.

Napad na pociąg węglowy. Dnia 27 stycznia br. napadła banda rabusiów, złożona z 30 osób, na pociąg węglowy w Kutnie. Steroryzowana służba kolejowa nie potrafiła im stawić skutecznego oporu. Bandyci zrzucili na tor znaczną ilość węgla, a gdy go zabrali z toru, dozwolili ruszyć pociągowi w dalszą drogę. Nie ulega wątpliwości, że policja wyłapie złodziejaszków, a sąd ukarze ich surowo.

Zagadkowe samobójstwo pod Poznaniem. Na torze kolejowym Poznań Gniezno wkrótce po przejeździe pociągu osobowego strażnik kolejowy znalazł na moście kolejowym zwłoki kobiety, straszliwie zmasakrowane przez pociąg. Jak ustalono w śledztwie, były to zwłoki

kobiety, liczącej około 25 lat życia, jak również, że kobieta owa popełniła samobójstwo z powodu zawiedzionej miłości oraz utraty posady z powodu nieuczciwości mężczyzny. Nazwiska jednak samobójczyni nie ustalono. Stwierdzono tylko, że przed popełnieniem samobójstwa opowiadała pewnemu męż zyźnie o swem ciężkiem położeniu i że wskutek tego odbierze sobie życie.

Morderstwo za 200 złotych. Na szosie Lebiediewo-Bienice na Wileńszczyźnie znaleziono zmasakrowane zwłoki kobiety. Natychmiastowe dochodzenia ustaliły, że mordercą był niejaki Jan Hajdukiewicz, mieszkaniec wsi Koty. Aresztowany przyznał się do zbrodni. Ofiarą morderstwa była 37 letnia mieszkanka wspomnianej wsi Anastazja Poźniak. Hajdukiewicz dokonał morderstwa za namową bliskiego krewnego, który obiecał mu sowite wynagrodzenie. Był nim Michał Poźniak, który dał Hajdukiewiczowi zadatku 50 złotych, a po morderstwie dopłacił mu jeszcze 150 złotych. Michał Poźniak chciał w ten sposób zawładnąć majątkiem swej krewniaczki Anastazji. Obom grozi sąd doraźny.

Walka o krowę. Do Matryny Szewczukowej w Powursku w powiecie kowelskim przyszedł sekwestrator, aby jej zająć krowę za zaległe podatki. Gdy się dowiedzieli o tem mieszkańcy owej wsi, zgromadzili się przed domem Szewczukowej w liczbie około 300 osób, uzbrojeni w kije i widły. Tłum zaatakował sekwestratora i odebrał mu krowę, a groźną postawą nie dopuścił do aresztowania przez posterunkowego dwóch przywódców zajść. Wobec takiej postawy tłumu sekwestrator i posterunkowy odjechali ze wsi, ale w sprawę wmieszał się sąd, przed którym buntownicy odpowiedzą za swój czyn, a krowy Szewczukowej nie uratują.

Bunt w więzieniu angielskiem. W więzieniu Princetown w Anglji wybuchł groźny bunt więźniów, przyczem przyszło do cięż iej walki między więźniami a strażą więzienną, policją i wojskiem. W czasie tej walki 12 strażników odniosło ciężkie rany, a około 80 więźniów umieszczono w szpitalu. Strażnicy mieli przeciwko sobie zgórą 300 buntowników, którzy uzbrojeni w zaimprowizowaną broń oczekiwali tylko chwili ćwiczeń, aby rozpocząć atak. Walka trwała przeszło dwie godziny. Jedna grupa więźniów, korzystając z zaburzeń, udała się do biura dyrektora więzienia, w celu wzniecenia tam ognia. Wzniecony w całem więzieniu pożar przybrał tak wielkie rozmiary, że z odległości kilku mil widoczne były płomienie. Niebawem przybyła straż pożarna, podczas gdy zażarta walka toczyła się w dalszym ciągu wśród syku płomieni i odgłosu strzałów. Wkońcu po nadejściu posiłków władze z trudem zdołały sytuację opanować. W czasie szalejącej walki buntownicy opanowali archiwum biur więziennych i spalili je. Wskutek zaburzeń więziennych, w których brało udział 300 więźniów, 80 z nich odniosło rany, w tem 20 poważne. Wedle doniesień prasy, zaburzenia miały powstać z powodu zbyt wodnistej kaszy, podawanej więźniom na pierwsze śniadanie.

Katastrofa kopalniana w Anglji. Najniebezpieczniejszy zawód na świecie, to zawód górnika. Codziennie musi on schodzić w podziemia, nie mając pewności, czy z nich wyjdzie. Bo też niema prawie tygodnia, aby w tej czy innej kopalni nie nastąpił jakiś wybuch, lub nie osunęły się głazy i nie przytłoczyły swym ciężarem biednego górnika. I oto znów telegramy przynoszą szczegóły o strasznej katastrofie, jaka się zdarzyła w Anglji w kopalni węgla w Llymnypis. Nie wiadomo z jakiej przyczyny nastąpiła tak silna eksplozja, którą słyszano w szerokim promieniu. Rzucono się na ratunek i wydobyto z głębi ziemi 17 górników, z których czterech zaraz umarło, następnie wydobyto sześć trupów. Oprócz powyższych w czasie akcji ratunkowej zginął młody śpiewak John Evans, który na ochotnika brał udział w ratowaniu nieszczęśliwych.

Rozwiązanie zakonu OO. Jezuitów w Hiszpanji. W Hiszpanji został ogłoszony dekret, na podstawie które zostają tam rozwiązane zakony OO. Jezuitów, a cały ich majątek przechodzi na rzecz państwa. Jest to zwykła kradzież cudzego mienia.

Walki w Mandżurji. Pomimo usiłowań Ligi Narodów, aby pogodzić Chiny z Japonją i pomimo obietnic Japonji, że spełni życzenia Ligi, walki w Mandżurji nie ustają. Jak donoszą ostatnie telegramy, Japończycy zajęli tam Charbin, a następnie po huraganowym ogniu z dział wkroczyli do Szanghaju. Wobec potęgi japońskiej Chińczycy są bezsilni, chociaż posiadają więcej ludzi aniżeli Japonja. Ale Japończycy górują nad nimi kulturą i przez to z łatwością dają im radę. Nadchodzą też wiadomości, że Chiny mają zamiar wypowiedzieć wojnę Japonji. Zatem o ile Liga Narodów nie położy kres walkom operacje wojenne na większą skalę mogą się wkrótce rozwinąć.

Syn miljonera hersztem włamywaczy. Z Chicago donoszą o następującem sensacyjnem zdarzeniu: Ostatniemi czasy dokonano w Chicago i okolicy szeregu zuchwałych włamań. Policja, poszukując włamywaczy, obserwowała pewnego młodego oberwańca, który oddawna wydawał się jej podejrzanym. Widywano go bowiem często w towarzystwie zawodowych przestępców w różnych podejrzanych lokalach i spelunkach. Onegdaj policjanci zauważyli, że obserwowany młodzieniec udaje się gdzieś eleganckim samochodem, pojechali więc w ślad za nim na motocyklach. Zdumienie ogarnęło ich, gdy stwierdzili, że samochód zatrzymał się przed pałacem jednego ze znanych miljonerów chicagowskich, a z samochodu wysiadł nie nędznie ubrany łobuz, lecz szykowny, młody pan, który niezwłocznie udał się do wnętrza pięknego domu. Wywiadowcy przystąpili do rewizji samochodu, przyczem jeden z nich nacisnął przypadkowo jakąś ukrytą sprężynę i odsłonił tym sposobem skrytkę, w której znajdowała się garderoba przestępcy i precyzyjne narzędzia kasiarskie.



Samochód odwieziono do komisarjatu. Ujętego następnie włamywacza aresztowano. W śledzlwie ustalono, że młody elegant jest synem miljonera, właściciela owego pałacu, Herberta Whitefellera, a równocześnie hersztem bandy zuchwałych włamywaczy. Aresztowany przyznał się do winy, gdy mu przedstawiono jako dowód rzeczowy jego odciski palców, zebrane w miejscach dokonanych przez niego włamań.

Wybuch trzech wulkanów. Jak donoszą z Guatemali wybuchły tam równocześnie trzy wulkany, a mianowicie Anatenango, Agua, i Fuego. Wybuch zniszczył trzy miasta i wyrządził szkody na okolicznych terytorjach.

RZECZY CIEKAWE.

Jak nasze zwierzęta walczą z mrozem.

W naszym klimacie wszystkie prawie zwierzęta mają jakiś kącik, w którym chronią się przed zimnem. Zimno-krwiste ryby i żaby zagrzebują się w szlamie wód; do tego mokrego łoża zimna woda niełatwo przenika. Gady i płazy, żółwie, salamandry i węże czują się najlepiej w suchych schroniskach. Szukają więc sobie zagłębień w ziemi lub rozpadlin skalnych i w nich urządzają sobie zimowe mieszkania. Wszystkie te zwierzęta bowiem są narażone na poważne niebezpieczeństwo, o ile nie schronią się przed mrozem: ciepłota ich krwi jest zależna od temperatury otaczającego je powietrza. Zagrzebują się więc starannie w swej norze na cały okres zimowy, aby zabezpieczyć się przed niebezpiecznym chłodem i wrogami. Mimo to zimno bardzo je osłabia i zwierzęta te zapadają w sen zimowy, podczas którego są całkiem nieprzytomne i nie spełniają prawie żadnych funkcyj życiowych. Oddychają o wiele rzadziej, niż zazwyczaj, tętno i przemiana materji są tak minimalne, że głód i pragnienie wcale ich nie trapią podczas snu zimowego. Niezbędne środki odżywcze czerpią wówczas z grubego pokładu tłuszczu, w który zaopatrywują się w czasie lata. Gdy budzą się na wiosnę, są bardzo wychudzone.

Ciepłokrwiste zwierzęta, którym natura przychodzi z pomocą, dając im ciepłe futro, są o wiele mniej narażone na niebezpieczeństwo zimy. Lecz również i one szukają ciepłego schronienia. Chomiki, wiewiórki, myszy polne budują sobie bezpieczne schroniska, które zaopatrują na zimę w pożywienie. Borsuki wykopują sobie głębokie jamy w ziemi, do których nie dochodzi zimno. Niedźwiedź brunatny, największy z zapadających w sen zimowy ssak, na zimę wykłada swoją norę mchem i suchą trawą i w niej przepędza okres mrozów. Tylko nietoperze spędzają zimę na otwartem powietrzu, wisząc głową na dół zaczepione nożkami o drzewa, lub o belki w starych, opuszczonych domostwach. Gęsta sierść chroni je przed zmarznięciem. Największym wrogiem tych zwierząt jest nie mróz, lecz głód. Żyją one wyłącznie owadami i niektóremi roślinami, których w zimie zupełnie niema. Niemogą się zaopatrzyć w zimowy zapas owadów, a do wywędrowania na południe są za ciężkie. Aby więc zużywać jaknajmniej pożywienia, przesypiają one okres zimowy. Podczas jego snu przemiana materji odbywa się w nich o wiele wolniej. Nietoperze naprzykład w czasie snu zimowego oddychają tylko jeden raz w ciągu kwadransa. Nie śpią one jednak tak silnie i nieprzerwanie, jak zwierzęta zimnokrwiste. Od czasu do czasu budzą się i w cieplejsze dni zimowe możemy spotkać się z niemi na słonecznym spacerze.

Ciekawostki.

Sułtan Mulaj Imait był ojcem 888 dzieci.

Żaklina Montgasse z Paryża miała 14 mężów i jest matką 25 dzieci.

W roku 1600 Jan Strzemieńczyk z Olkusza spał 19 godzin w pozycji stojącej.

Anna Krzemińska z Urzędowa powiła w roku 1534 siedmiu chłopców naraz.

Wieś Ceruera w Hiszpanji posiada większość mieszkańców, posiadających po 11 i 12 palców u rąk.

Piotr Pietersberg w Południowej Afryce ma 80 cm. wzrostu, dziesięć żon i 37 dzieci.

Stanley Ellis na Nowej Zelandji schwytał na wędkę rybę, ważącą 845 funtów.

Wszystkie te, fantastycznie wprost brzmiące wiadomości, są jednak prawdziwe.

Czesław Wośkowski.

Potworne gady.

W poprzednich numerach „Roli" podawaliśmy obrazki, przedstawiające szkielety olbrzymich ssaków i ptaków, jakie żyły na ziemi przed tysiącami lat. Ale oprócz nich były też i gady olbrzymy, jakich dzisiaj nie spotykamy na kuli ziemskiej. Dość wspomnieć o jaszczurze wodnym, który dochodził do 15 metrów długości. Posiadał on kształty napół rybie, napół krokodyle.



Olbrzymim gadem był również plesiosaurus, którego podobiznę szkieletu widzimy na powyższym obrazku. Był to gad olbrzymi, do żadnego żyjącego stworzenie nie podobny, mający korpus stosunkowo krótki, lecz natomiast szyję długą, jakby łabędzią; głowę miał małą, jakby wężową, a nogi pletwowe, jakie dziś tylko ryby i walenie posiadają.

Dzieje żeglarstwa.

Początek żeglarstwa sięga najdawniejszych czasów. Według doniesień historycznych pierwsi Egipcjanie i Fenicjanie posiadali już większe statki żaglowe. Stosownie do zwyczajów i obyczajów poszczególnych narodów i te małe statki miały swoje charakterystyczne cechy. Rozróżniano budowę perską, syryjską, później rzymską i grecką, jednak rozmiary wszystkich tych statków były bardzo niewielkie. Dopiero w XV wieku bardziej śmiali żeglarze zdobywali się na odwagę oddalania się na dłuższy czas od brzegu. W związku z tem zaczęto budować większe statki. Prawdziwy i poważny krok naprzód pod tym względem zawdzięczamy przedewszystkiem portugalskiemu księciu Henrykowi Żeglarzowi (umarł w r. 1460), który prowadził kilka morskich wypraw wzdłuż zachodniego wybrzeża Afryki. W tym samym czasie żeglarze genueńscy odkryli wyspy Azorskie, Maderę i wyspy Kanadyjskie. Zachęcone temi pomyślnemi rezultatami i żądne zdobyczy i sławy poczęły również i inne narody przybrzeżne, przedewszystkiem Portugalczycy i Hiszpanie brać udział w większych wyprawach morskich i to w najrozmaitszych kierunkach. W roku 1486 udało się Bartłomiejowi Diaz dotrzeć do najdalej na południe położonego cyplu Afryki, tak zwanego Cabo Tormentos, który później otrzy-

mał nazwę „Przylądka Dobrej Nadziei“. W roku 1492 nastąpiło epokowe odkrycie Ameryki przez genueńskiego żeglarza Krzysztofa Kolumba, który po długich, uciążliwych przygotowaniach i trudnościach w uzyskaniu środków pieniężnych zdołał wybudować statki, które odpowiadały wymaganiom, według pojęć ówczesnych, długotrwałej, wielkiej podróży morskiej. Krzysztof Kolumb posiadał trzy statki i nazwał je: „Santa Maria“, „Pinta“ i „Nina“. Dnia 3 sierpnia 1492 roku wyruszył on z Lizbony i 6 września dotarł do wysp Kanaryjskich, gdzie musiał wykonać cały szereg drobnych naprawek, skąd rozpoczął dopiero przeprawę przez ocean, mniemając, że do wschodniego wybrzeża Indyj. — Na szczęście Kolumba i przyszłych pokoleń istniał jednak kontynent Ameryki, inaczej Kolumb już ze względu na brak żywności i wody do picia nigdyby nie osiągnął swego wschodniego wybrzeża Indyj, do którego dążył. Z tego też powodu przypuszczać należy, że nowoodkryty kraj nie został nazwany imieniem Kolumba, który nazwał Indjami zachodniemi, a jego mieszkańców Indjanami. Podróż powrotna do Lizbony, którą rozpoczął dnia 4 stycznia 1493 r., trwała dwa miesiące. W tej długiej podróży zatrzymał się na kilka dni na wyspach Azorskich, uniknąwszy poprzednio cudem tylko utonięcia swoich statków podczas wielkiej burzy. W taki sposób uczyniono pierwszy krok do transoceanicznych podróży morskich, poczem to stało się zachętą dla nowych odkrywców. Co rok prawie odkrywano nowy kraj jak w r. 1494 i 1498 odkrył Kolumb większą część Antylów i północny brzeg Ameryki południowej. W roku 1498 Vasco de Gama odkrył drogę południową naokoło Przylądka Dobrej Nadziei do Indyj. W r. 1500 Cabral odkrył Brazylję, a dopiero w r. 1520 udało się Magelanowi znaleźć drogę na Zachód naokoło południowego Ameryki Południowej przez cieśninę, która nosi nazwę swego odkrywcy *(Ergo)*

Wszystkie zaległe numera „Roli“ od Nowego Roku posiadamy w zapasie.

ODPOWIEDZI REDAKCJI.

Pp.: **Antoni Poloczek** w P.: Prosimy bardzo o przysłanie „Skarb zamurowany w piwnicy“, a po przeczytaniu damy stanowczą odpowiedź. **Ewangelik:** Twierdzenie Pańskie, jakoby p. Zakrzewski, autor artykułu p. t. „To trzeba wiedzieć“, zamieszczonego w numerze 3 „Roli“, obrażał w nim protestantów, jest niesłuszne. W artykule tym niema ani jednego słowa obrażającego jakąkolwiek religję. Zdanie: „To trzeba wiedzieć, że niewolnik, zależny od przesiąkniętej wpływami azjatyckiemi Rosji, czy od brutalnych protestanckich Niemiec, tego szczytnego posłannictwa spełniaćby nie mógł“, nie obraża przecież religji protestanckiej, bo wiadomo, że większość Niemców jest wyznania protestanckiego, a że Niemcy są brutalni, to także chyba rzecz prawdziwa. Słowo „brutalnych“ w zdaniu tem jest przydawką do słowa „Niemiec“, więc mogłoby obrażać w ostatecznym razie tylko Niemców, a nie protestantów innych narodowości. Zresztą tak my, jak i wszyscy oświeceni Polacy wiedzą dobrze, iż wielu protestantów Polaków było i jest dobrymi synami Polski, co stwierdzili niejednokrotnie krwią swoją na polu chwały. **L. Kuboszek** w B.: Wierszyki przeznaczamy do druku, kiedy jednak je zamieścimy, trudno nam oznaczyć. **Stanisław Jucha** w K.: Z nadesłanych wierszy „Krakowiaczka“ zachowujemy, dwa inne blade. Poprzednie utwory z powodu braku miejsca czekają na swoją kolej. **Marja Wawrzykówna** w P.: Jak Pani zamieszka w Krakowie na ulicy Mazowieckiej, to „Rolę“ może Pani pobierać z ul. Rzecznej 13 (bocznica Mazowieckiej), tam jest właściwa administracja „Roli“. Za życzenia dziękujemy i wzajemnie Panią pozdrawiamy. **Stefan Kulis** w D.: Za życzliwość bardzo dziękujemy i załączamy pozdrowienia.

Zagadki do nagrody.

1. Logogryf.

(Ułożył Antoni Sordyl z Z.).

■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Kraj w Europie.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Część karabinu.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Instrument muzyczny.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Kraj w Europie.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Imię żeńskie.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Roślina.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Miasto polskie.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Imię męskie.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Imię męskie.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Kraj w Europie.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Część świata.

Litery w miejsce kwadracików czytane z góry na dół dadzą nam imię i nazwisko wielkiego kaznodzieji polskiego.

2. Szarady.

I.

(Ułożył Wł. Sowiźrał z J.).

Na początku jest litera
Dwoma brzuchami się napiera,
Zaś sylaba pierwsza druga,
Bez tej z brzuchem początkowej
To stolica wielka, długa
A zarazem port bałtycki,
Ani pelski, ni niemiecki;
Tak nam Bzdura Maciek mruga,
No i stale drugie trzecie
Póki żyje na tym świecie.
Całość wiele wojska znaczy.
Zgadnać trzebs — nie innczej.

II.

(Ułożył Piotr Węnc z Ś.).

Wstecz pierwsza pół drugiej to hymn polski znany,
Pierwsza druga znów ptak na wsi poważany,
Sama trzecia jest śladem, uawet znaczy drogę,
Środek trzeciej drugą trzecią czwartą modlitewnikiem zwać mogę.
Całość jest władzą, w szczególności szkół średnich dosięga,
Signum jej: pióro, kałamarz i księga.

3. Zagadka.

(Ułożył Piotr Wenc z Ś.).

Wyjmij z nazwy literę a powstanie rzeka,
Wrzuć do rzeki literę, nazwa w „Roli“ głośnego człowieka.

4. Kwadrat magiczny.

(Ułożył Antoni Sordyl z Z.).

	o		o		a
o		o		e	
	o		a		o
o		a		o	
	e		o		
a		o			

Wpisać tak litery aby utworzyły sześć wyrazów czytanych poziomo i pionowo.

5. Bilet wizytowy.

(Ułożył Jan Liwosz z S.).

DR G. KONIO

Z liter odgadnąć zawód tej osoby.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznaczamy dwie książki do rozlosowania.

Termin nadsyłania rozwiązań upływa dnia 12 b. m.

Znaczenie zagadek z Nru 4 „Roli“: 1. Logogryf: Rola—Kraków—Tomasza. 2. Szarady: I. Skowronek. II. Pijanica. 3. Przestawianka: „Kiedy złodzieje okradną złodzieja, wtedy djabeł cieszy się i śmieje, lecz kiedy biedny biednego ratuje, to wtedy Pan Bóg w niebie się raduje. 4. Bilety wizytowe: I. Sekretarz sądowy. II. Weterynarz.

W oznaczonym czasie rozwiązania nadesłali pp.: Ks. Michał Owsionka z B., Jan Kapusta z U., Walentyna Kłapiszówna z Z., Jan Smaza z Z., Kaziunia Mikosiówna z U., Ignacy Migdałek z I., Antoni Poloczek z P., Stanisław Kopeć z U., Jan Kawalec z J., Michał Prochownik z S.

Nagrody wylosowali pp.: Antoni Poloczek z P. i Jan Smaza z Z.

Wydawca: Feliks Kowalczyk. Odpowiedzialny redaktor: Antoni St. Bassara.
W drukarni „Czasu“ w Krakowie pod zarządem Leopolda Wójcika.

W sam raz.

Pewnemu rosyjskiemu oficerowi z armji bolszewickiej przyniósł żołnierz od krawca nowy mundur, który tenże zaraz sobie włożył na siebie. I gdy zapiął już ostatni guzik, rzecze do żołnierza:

— A co Aleksiej, jak wyglądam w mundurze?

— Jak lew! panie poruczniku.

Zaintrygowała oficera ta pochwała, przyrównująca go do króla zwierząt i czy przypadkiem żołnierz się nie myli, zapytał go:

— A gdzie ty widział lwa?

— Na obrazku, jak Matka Boska z Panem Jezusem uciekają na nim do Egiptu.



Byle nic nie kosztowało.

Pipman prosi w cukierni o ciastko z jabłkiem, ale po chwili odsyła je z powrotem i prosi o kawałek strucli z makiem, którą zjada z apetytem, poczem wstaje i chce wyjść.

— Panie — woła kelner — pan nie zapłacił za struclę!

— Przecież za nią dałem panu ciastko z jabłkiem.

— Ale za ciastko z jabłkiem pan także nie zapłacił!

— A czy ja go jadłem?

Giełda płodów rolniczych

z dnia 29 stycznia b. r.

Pszenica	25·00—25·50	Słoma długa	7·50—8·00
Żyto .	23·50—24·00	Ziemniaki stoł.	0·00—0·00
Owies . .	21 50—22·00	Koniczyna na-	
Jęczmień .	20 50—21·00	sienn. czer.	000·00—000·00
Fasola biała	25·00—27·00	Mąka żytnia	40·00—40 50
Groch zwyk.	27·00—29·00	Mąka pszen.	43·00—43 50
Siano słodk.	12·00—14·00	Otręby pszen.	14·00—14·50
Łubin żółty	20·00—20·50	Otręby żytnie	14·00—14·50
Koniczpastew.	16·00—18·00	Mąka czerw.	18·00—19·00

Ceny rozumieją się za towar średniej handl. jakości za 100 kg

Ceny bydła i nierogacizny na krakowskiej targowicy

w dniu 29 stycznia b. r.

Płacono za jeden kilogram żywej wagi I. klasy:

Buhaje .	od 0 60 do 0·72 zł.	Jałownik	od 0 60 do 0·70 zł.
Woły . .	od 0 60 do 0·68 zł.	Cielęta .	od 1·00 do 1·16 zł
Krowy .	od 0·55 do 0·63 zł.	Kozy i barany	0·00 do 0·00 zł.
Nierogaciznę	1·00 do 1·20 zł.	Nierogaciznę bitej wagi	od 1·40 do 1·50

Za zmianę adresu należy się 40 groszy.